

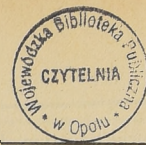
Należność pocztową uiszczono gotówką.

Nr. 60—61

Lwów, Wrzesień Październik 1929

Rok VI.

Kolekcja
Emiła Kornasia



PANTEON POLSKI

Poświęcony czynowi Józefa Piłsudskiego i bohaterstwu Żołnierza Polskiego, kronice walk o Niepodległość i pamięci poległych Obrońców Ojczyzny o wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

Lwów-Skrytka 98. — Telef. 22-90. — PKO. Warszawa 152.950. — Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 1 ZŁ.

Uroczystości Legionowe w sierpniu 1929 r.

Dzień 6 sierpnia każdego roku — jest dniem święta wielkiego czynu Józefa Piłsudskiego, dniem święta powstania odrodzonego wojska polskiego i dniem radości tych, którzy mieli szczęście i honor być w Legionach.

W dniu tym cała Polska — czei i po wieczne czasy czeić będzie imię Wodza i czyny Jego żołnierzy a póki żyć będą legioniści, dzień ten będzie dniem święta i radości, dniem wspomnień i gromadnego złotu, by razem pogwarzyć o tych czasach, kiedy szło się po trudy i znoje, by Polska powstała i żyła.

Roku tego Zjazd Legionistów odbył się w *Nowym Sączu* — dnia 11 sierpnia. Komendant nie mógł przybyć, odpadła więc tradycja i najważniejsza część zjazdu, gdyż od 1922 r. wszystkie zjazdy odbywały się przy udziale Komendanta a przemówienia Jego były najdonioślejszym wypadkiem dnia w Polsce i w świecie.

Komendant nadesłał list następującej treści:
Druskieniki. 6 sierpnia 1929.

Kochani Koledzy i Towarzysze Broni! W tym roku niestety przybyć na doroczne Święto Legionowe nie mogłem. Muszę wyzyskać sierpień na mój urlop zdrowotny i muszę zatem wyrzec się przyjemności pobytu między Wami, co stało się zwyczajem moim, jak i Waszym.

Tak się już przyzwyczaiłem, że rok po roku staram się obudzić w sobie, jak i u Was, wspomnienia naszej wspólnej pracy, naszych wspólnych bólów, bojów i trudów, tak jak gdybym jak ongiś przy ognisku wieczornem siedział i mógł tak gwarzyć i myśleć, jak się gwarzyło, myślało i marzyło kiedyś. Dodawałem w ten sposób roku każdego cegiełkę pod budowę historii dla nas, historii nie tej kłamanej i fałszowanej, a tej, co prawdę głosi i o sprawiedliwość woła. Gdy zaś nie jestem w stanie przemawiać, zdecydowałem chociażby napisać, by zwyczajowi zadość się stało.

W służbie naszej przeszliśmy niemało. Wstydów nam zadawanych przeżyliśmy nie mało, wstyd zaś najcięższy, wstyd pałący nosiliśmy nie od kogo innego, jak od Polaków. Ież to razy w przeciagu naszego istnienia jako Legionistów ze złością mówiłem i powtarzałem silny wiersz wielkiego poety: „Niewolnicy, gorzej — słudzy niewolników!” Przeciw nam, przeciwko naszym dążeniom wyrzucano zawsze płatnych, najetych Polaków, których zawsze posiadano dostateczną ilość, tak, aby ci, nie sami zaborcy, handlowali dla swojej korzyści, czy karjery naszą krwią za luty i funty.

A ile razy ja, jako Wasz wódz i przedstawiciel, szukałem jakiegokolwiek siły, chociażby nikłej i słabej, lecz polskiej, dlatego, aby jaknajsilniej podkreślić, że służymy tylko Polsce a nie zaborcom, tyle razy byłem sprzedany także na luty i funty dla uzyskania protekcji u tych, co byli płatnymi i najemnymi Polakami. Kiedy zaś pomyśle, że już w Państwie Polskiem podczas wojny działo się akurat to samo, prawie z fotograficzną ścisłością, powtarzam to zawsze, przychodzę do mojej syntezy, moich syntez, naszej własnej historii.

Gdy więc myślę o pięknie prawdy historycznej, gdy myślę o bohaterstwie, zawsze przy porównaniach historycznych stwierdzam, że konkurencje wytrzymać możemy z jaknajpiękniejszymi przykładami historii i własnej i ludzkości.

Gdy zaś myślę o otoczeniu tego piękna i tego bohaterstwa, to bardziej niednego i pozbawionego honoru i godności otoczenia trudno wynaleźć. W większości naszego narodu, gdyśmy w szlachetniejszy metal dzwonili, gdyśmy kusili pięknem i bohaterstwem, mieliśmy conajwyżej westchnienia, niekiedy głupie łezki, większość zaś odwracała się od nas ku tym, co sprzedajnym łajnym byli, co rozłajdane pyski hardo nosili, jako ku autorytetom, być może brzydkim, lecz

rozumnym i praktycznym. Poparcie znaleźli oni, potworki ludzkie, nie my.

Przyjmijcie Kochani Koledzy ten list, jako przyczynek do naszej historii.

Józef Piłsudski.

* * *

W godzinach popołudniowych w koszarach I. pułku Strzelców podhalańskich odbył się obiad żołnierski w którym wzięli udział wszyscy uczestnicy Zjazdu. Po obiedzie uczestnicy Zjazdu udali się specjalnym pociągiem do Marcinkowic celem złożenia hołdu poległym w 1914 r. Legjonistom z kapitanem Milkiem na czele. Tutaj złożyli hołd pamięci poległych: włościanin Bukowski, prezes miejscowego Strzelca, delegaci sąsiednich gmin, oraz dzieci wiejskie. Na mogiłach poległych złożono liczne wieńce i kwiaty.

* * *

Między 1-szym a 15-tym sierpnia odbywały się różne i liczne uroczystości miejscowe w wszystkich ośrodkach, gdzie grupują się legjoniści.

Do jednych z największych i najpiękniejszych należy uroczystość urządzona we Lwowie przez liczne grono legjonistów, związanych w „Komitet uczestników walk legjonowych“.

Dnia 11-go sierpnia 1929 r. o godz. 9 przedpołudniaw kaplicy zakładów naukowych im. Z. Strzałkowskiej Msze św. ks. Kosma-Lenczowski z zakonu OO. Kapucynów, kapelan pierwszej brygady Legjonów, poczem wvgłosił podniosłe kazanie. Mowca przypomniał zebranym chwile, jak to w tej samej kaplicy przed 15-laty ks. biskup Bandurski poświęcił pierwszy sztandar Strzelców, idących w bój, a przeprowadzając analogię pomiędzy tą chwilą a obecnym czasem, wzywał do dalszego pogotowia duchowego, które powinno przenikać całe społeczeństwo polskie, by utrzymać zdobytą wolność.

Z kolei przed gmachem zakładu odbyła się wspólna fotografia uczestników obchodu, poczem wszyscy udali się na ul. Ziemiałkowskiego, gdzie na frontonie kamienicy pod l. 14. nastąpiło odsłonięcie tablicy pamiątkowej, w której przed wybuchem wojny światowej mieścił się lokal Związku Strzeleckiego, oraz kwatery Głównej Komendy.

Tak kamienica pod l. 14, jak też wszystkie inne przy ul. Ziemiałkowskiego były pięknie udekorowane chorągwiami, dywanami, kwiatami i portretami Marszałka Piłsudskiego. Po odegraniu Pobudki Legjonowej przez orkiestrę Browarów Lwowskich, z okna parterowego, dawniej kwatery Marszałka Piłsudskiego, pierwszy imieniem komitetu przemówił ob. Żelaszkiewicz, legjonista I. B-dy, wspominając, że właśnie z tego domu i z tego lokalu wyszli pierwsi Strzelcy na

bój, a witając przedstawicieli władz, delegatów, gości i tłumnie zebranych uczestników tej uroczystej chwili, specjalnie powołał redaktora Bronisława Laskownickiego, który był jednym z głównych organizatorów pracy niepodległościowej, a w roku 1914 stał na czele Związku Strzeleckiego, jako prezes tegoż.

Powitany burzą niemiłkających oklasków redaktor Laskownicki w swoim pięknym i dłuższym przemówieniu, które na zebranym tłumie uczestników uroczystości wywarło głębokie wrażenie, przedstawił znaczenie Czynu Legjonowego, i wybitną rolę Józefa Piłsudskiego, wykazał dążności legjonistów do wolnej Polski, która musi się stać demokratyczną i ludową, poczem mowę swoją, przy równoczesnym odsłonięciu tablicy pamiątkowej, zakończył okrzykiem na cześć prezydenta Rzplitej Ignacego Mościckiego i Marszałka Józefa Piłsudskiego, który to okrzyk zebrani trzykrotnie powtórzyli, zaś orkiestra zagrała „My pierwsza brygada“.

Oczom zebranych okazała się piękna marmurowa tablica o treści:

Z rozkazu
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
z domu tego w sierpniu 1914 r.

wyszły Oddziały Strzelców Lwowskich
na Legjonowe boje.

W 15-tą rocznicę tablicę tę wmurowali
Uczestnicy Bojów Legjonowych.

Z kolei kpt. Czaszka, ofic. I Bdy odczytał następującej treści akt pamiątkowy:

„Na wieczną chwałę i ku pamięci Potomnych tę oto tablicę na murach tego domu, dawniej kwatery Wodza Józefa Piłsudskiego w sposób uroczysty wmurowują dawni Strzelcy i następnie Żołnierzy Legjonowi, którzy ochnie poszli w boje, by Ojczyźnie Wolność i Niepodległość orężem i krwią zwrócić.

Przytomni tej uroczystości podpisami swymi świadectwo kładą, że Gród Orłat czi i po wieczne czasy czić będzie pamięć Czynu Legjonowego i Imię Wodza.

Ktokolwiek z Potomnych dokument ten odnajdzie, niechaj go czią i pieczą otoczy, a Współczesnym do wiadomości poda, że ci, co go tutaj złożyli i podpisali, czynili to z gorącym pragnieniem Dobra, Chwały i Potęgi Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Działo się za Prezydentury Państwa Dra Ignacego Mościckiego w mieście Lwowie 11-go sierpnia 1929 roku.

Komitet Uroczystości wmurowania
i odsłonięcia tej tablicy“.

Akt ten, sporządzony na pergaminie i podpisany przez Komitet, delegatów i obecnych na uroczystości, został wmurowany poza tablicą.

Dr. JAN ROGOWSKI.

W szkole podoficerskiej Legjonów w Kamieńsku

V.

16 maja 1915 r. Wieczorem dostaliśmy wiadomości tak dobre, że poprostu trudno w nie wierzyć: Przemysł wzięty, Jarosław, Sambor, Radom w Królestwie.

Jeżeli jest to prawdą — wiadomości mają być pewne — to może i Lwów będzie lada dzień wolny.

Dzisiaj przez Kamieński przejechał król saski, czy nawet sam Wiluś.

17 maja (poniedziałek). Przed południem był wykład chorążego Robla o broni i chorążego Szczepańskiego o terenoznawstwie.

Po południu były ćwiczenia w kopaniu rowów strzeleckich.

Jutro idziemy na manewry pod Piotrków.

Komendantem szkoły jest znowu Modelski

18 maja (wtorek). Mieliśmy iść na manewry do Rozpsy. A na tych manewrach mieliśmy otrzymać ważną rolę, jako jedna z najlepszych kompanji.

Na gwałt uczono nas potrzebnych rzeczy, byśmy się czasami nie „zasypali”.

A więc wykłady o forpocztach marszowych, ubezpieczeniach i t. d. były już zupełnie gotowe.

A tymczasem przyszedł telegram od pułkownika Grzesickiego, — komendanta grupy, że szkoła ma zostać.

W czasie południa zawitał do nas bataljon, idący na manewry.

Miło i rozkosznie patrzeć na idące wojsko, — wojsko polskie.

19 maja (środa). Gorąco, duszno, ćwiczenia męczące.

20 maja (czwartek). Egzamin lada dzień. Chłopcy bardzo pilnie piszą wykłady, czytają książki wojskowe i t. d.

Ja wstałem dzisiaj o godz. wpół do piątej i uczyłem się służby wewnętrznej.

21 maja (piątek). Charakterystyki. Sierżant Kwarciański, — komendant pierwszego plutonu. Wzrost średni, smukły. Przystojny żołnierz. Lat nie będzie miał więcej nad dwadzieścia jeden. Chłop energiczny i zamaszty, nawet za nado. Np. wczoraj na ćwiczeniach uderzył trzcinką Walkowskiego, za co go naturalnie musiał przeprosić.

Wykłada w naszej szkole teorię strzelania.

Chorąży Szczepański, — z zawodu geometra. Wykłada u nas terenoznawstwo. Wykłady jego początkowo nudziły nas, ale potem przekonał się, że posiadają one prawdziwą wartość.

Wzrostu średniego, niezłej sobie tuszy. Nosi okulary, wasy po angielsku, podcięte. Ma minę pedagoga. Dosyć śmiesznie wydaje komendę: „Kompanja! marsz!” — to „marsz” wymawia z takim poważnym naciskiem, że od śmiechu nie możemy się powstrzymać.

22 maja (sobota). Wczoraj o godz. 6-tej wieczorem miała wybuchnąć wojna Austrii z Włochami.

Sprawa polska — mojem zdaniem — zyskuje na tem. Znaczenie nasze wobec państw Dwuprzemierza — wzrasta nadzwyczajnie, wskrzeszenie państwa polskiego staje się koniecznością.

23 maja (niedziela). Zielone święta!

A więc „Zstąp Gołębic! Twórczy Duch!”

Przypominają mi się dziecinne lata, rodzinny dom, czcigodna postać ojca.

Wielkie gałęzie okryte świeżymi liśćmi wiosny, — wyrastały jako drzewka u drzwi wchodowych i w każdym kącie izb.

Wiersz ten przeczytał mi — i pozwolił przepisać jeden z kolegów nazwiskiem Celner. Pochodzi z Płockiego, z nad granicy pruskiej.

24 maja (poniedziałek). Przed południem i po południu były wykłady. Porucznik Jeziorański opowiadał nam o kilku bitwach w wojnie rosyjsko-japońskiej, w której małe oddziały japońskie zadawały nieprzyjacielowi poważne ciosy, szczerząc postrach i zamieszanie w kompanjach moskiewskich.

Wykład oparty na dziele Hamiltona był bardzo zajmujący.

W naszej fabryce mieszka prócz nas kilkadziesiąt maruderów z drugiego i trzeciego pułku. Jest to żywioł niebezpieczny, szerzący demoralizację. Ale i między nimi są ludzie niezłomni i piękni.

Spotkałem jednego studenta z Krakowa — młodzutkiego chłopaka, który dziewięć miesięcy spędził w polu, był ranny pod Tomaszowem. — a jednak mimo wszystko jest pełen zapału i chciałby znowu pójść w pole. — Serdeczny chłopak.

25 maja (wtorek). Zaraz po południu objąłem służbę kaprała dziennego. Nie jest to ciężka służba. Razem z żołnierzem dyżurnym trzeba czuwać nad porządkiem w koszarach; trzeba pójść po odprawę, być przy wydawaniu jedzenia i t. d. Następnie czuwać do godz. 1-szej w nocy.

Wojna austriacko-włoska wybuchła z całą pewnością. Co o tem sędzę, pisałem już wyżej.

Oby tylko lwi duch odezwał się w piersi polskiego Narodu. Wierzę w zwycięstwo i widzę je...

26 maja (środa). Rozkład zajęć w szkole powo-
licerskiej jest następujący:

Godzina 5 pobudka; 5.30 zbiórka; 5.50—6.30
nusztra formalna; 6.30—7 śniadanie; 7—7.15 rap-
port plutonowy; 7.15—7.45 gimnastyka; 7.45—8
raport kompanijny; 8—12 ćwiczenia lub wykła-
dy; 12—12.30 czyszczenie broni; 12.30—2 obiad;
2—6 wykład lub ćwiczenia; 6 rozkaz; 6.15 kola-
cja; 6.15—8.45 wyjście; 8.45 capstrzyk; 9 apel
wieczorny; 9.45 gaszenie świateł i spoczynek.

Mamy dzisiaj „żołnierski post“.

Polega on na tem, że na śniadanie i wiecze-
rę dają suchary — dwie garście za ledwie, a na
obiad konserwy.

Post taki wypada co trzeci dzień.

Mieliśmy kilka nieprzyjemnych wydarzeń
w szkole.

Np. dwóch wróciło z hulanki dopiero o godz.
3-ciej, za co dostali po cztery godziny szpangi
i areszt koszarowy, aż do odwołania.

Kara zupełnie zasłużona.

Dalej coraz częściej zdarzają się u nas drob-
ne kradzieże, a to nie świadczy dobrze o „panach
kadetach“.

Przez Kamięńsk przejechało kilka pociągów
z taborem, karabinami maszynowymi, a nawet
armatami, widocznie Austriacy wycofują wojska
na granicę włoską.

28 maja (piątek). Wstaliśmy o godz. 4-ej ra-
no i ruszyliśmy do Radomska — na strzelnicę.
Szlismy wzdłuż toru kolejowego, — drogą bar-
dzo ładną.

Po przyjeździe na miejsce rozbiliśmy namioty,
ustawiliśmy tarcze i zaczęło się strzelanie. Ja
trafiłem raz z odległości 200 kroków w samą fi-
gurę, dwa razy w tarczę, dwa strzały poszły na
wiatr.

Po południu należałem do ubezpieczenia
strzelnicy.

Wieczorem po wieczerzy, — czarna kawa
i bardzo dobre suchary, — poszliśmy się przejść
do Radomska. Jest tutaj stanowczo przyjemniej
niż w pustym Kamięńcu. O godz. 8-ej ruszamy
z powrotem. Cudna majowa noc.

29 maja (sobota). Ćwiczenia jak zwykle.

30 maja (niedziela). Charakterystyka. Książ-
ka kapelan Gilewicz. Wspominałem o nim kilka-
krotnie. Jest to książka-żołnierz. Wzrost wysoki.
Ubrany jest — rozumie się w mundur żołnierski,
z trzema białymi przepaskami na rękawie. Uczy
nas higieny żołnierskiej, przyczem używa
raz, — jak wspominałem już, — wyrażen zw-
yczajnych, prostych. Uczy nas dalej gimnastyki.
Mieliśmy nieraz uciechę, kiedy po skończeniu j

lekcji, ks. kapelan wydawał przez pomyłkę
mendę: „Do prawego... luzuj!“.

Jest to człowiek bardzo inteligentny. Ma
doktorat filozofji i teologii. Miał dziś w kościele
w Kamięńsku kazanie.

Po południu były dwa wykłady: Jezior-
skiego i Szczepańskiego. Od kilku dni krążą po-
głoski, że Białas i Kowalski, którzy poszli
z pierwszą kompanją w pole, zostali ranieni.

31 maja (poniedziałek). Przed i po połud-
niu wykłady. Szczepański chciał koniecznie skończyć
organizację armji austriackiej i trzymał nas do
godz. 8-mej wieczorem.

A wykład o rzeczach takich, jak, ile koni ma
tren, ile stacji telegraficznych ma szwadron ka-
walerji i t. d. Dowcipnie więc zauważył jeden
z kolegów, że organizację bierzemy, „w ogólnych
zarysach“.

Egzamin odbędzie się w piątek.

1 czerwca (wtorek). Przed południem mieli-
śmy bardzo ładne ćwiczenia taktyczne: pluton
pierwszy i drugi miał stoczyć bój z plutonami
trzecim i czwartym.

Pierwszą partją dowodził Kwarciński, drugą
Szymański.

Partja druga obsadziła folwark Huty — i tam
rozegrała się bitwa.

Opisywać jej nie będę: to tylko powiem, że
uganianie po łanach żyta i tratowanie, strasznie
mi się nie podobało.

Zwycięstwo odniosła partja pierwsza. Wa-
liliśmy ślepyimi nabojami, a i bagnety były
w potrzebie.

2 czerwca (środa). Egzamin się zaczyna.

Zdajemy dziś — t. zn. pluton pierwszy egza-
min praktyczny z rozkazownictwa. Ja zdawałem
przed komendantem szkoły Modelskim.

Byłem nieco zmieszany: pomyliłem się kilka
razy w wydawaniu komendy.

Zaraz potem byłem pytany ze służby placów-
wek, — odpowiadałem dosyć dobrze. Ks. kapelan
zdjął całą naszą szkołę trzy razy: raz w szyku
rozwiniętym, drugi raz „w kolumnie gimnastycz-
nej“ (jeżeli można tak powiedzieć), trzeci raz
w okopach.

Zbliża się zatem chwila decydująca.

Po południu było repetytorjum, na którym
był obecny komendant szkoły i wszyscy wykła-
dający.

Byłem pytany z teorji strzelania i ze służby
polowej.

3 czerwca (czwartek). Boże Ciało! Pluton
pierwszy nie idzie do kościoła — ma się uczyć.
Egzamin jutro. Bedzie na nim komendant. —
Grupy pułkownik Grzesicki i major Ryłski.

Sala wykładowa przygotowana już na ich
przyjęcie. U drzwi wchodowych wielkie jodłowe

gałęzie; i sala w zieleń przystrojona, — orzeł biały na ścianie.

A na środku stół, zasłany zielonym sukniem: za nim dwa krzesła.

Po południu uczyłem się razem z Pasiewiczami i Jawczycem.

Swoją drogą — chętniej zjadaliśmy cukier, pokropiony sokiem cytrynowym, niż uczyli.

Wieczorem było repetytorjum z terenoznawstwa.

O mapach austriackich nie umiałem, bo nie

zdążyłem przeczytać ostatniego wykładu; natomiast orjentowanie się w terenie — umiałem bardzo, bardzo pięknie.

Wieczór. Od godz. 9-tej do 10-tej repetytorjum ze służby polowej.

4 czerwca (piątek). A więc dziś egzamin.

Przed południem rozmaite repetytorja: 22 służby wewnętrznej, terenoznawstwa, organizacji armii i t. d. Jesteśmy wszyscy zmęczeni i zdeenerwowani.

(C. d. n.)

Jak Leguny chciały upić kapelana Kosmę.

Kiedy się przytrafi, jak ślepej kurze ziarno, że legun spotka leguna, z wewnętrznej konieczności nie będą oni ze sobą gadać ani o pogodzie, bo to dobre dla salonowców, ani o kursie dolara, bo chroniczne pustki w kieszeni smętnie patrzą na świat, ani o zdrowiu, szczęściu i wszelkiej pomyślności, bo o tem rasowa brać leguńska już chyba do grobowej deski pojęcia mieć nie będzie, ani o nowinkach, plotkach i polityce, bo są rzeczy daleko ważniejsze: oni, jak jedwabnik, wysnuwają ze siebie złotą nić wspomnień i na kilka chwil to, co już minęło i nigdy nie wróci — nagle zmartwychwstaje! Wszystko jednak na tej ziemi się kończy. Takie spotkanie również nie jest długowieczne: życiem modlitwy się ono cieszy. Krzykliwa rzeczywistość, prawdziwa baba-jędza, z wielkiej zadrzości rwie tę nić wspomnień, bo chce, by o niej tylko człowiek myślał. Ha! trudno — takie jest prawo życia!

Dziś właśnie ten ślepy trafunek i mnie się przytrafił. Spotkałem kapelana Kosmę. Wprawdzie w Legjonach nie znaleźliśmy się wcale: on był „szarżą”, chociaż tylko duchową, a ja — ot! — taką chętką-petelką, o której prawie nikt nie wie, a nikt z pewnością wiedzieć nie będzie, bo nikomu dolarami nie sypnę, ojczyzna zaś wielkiej straty nie poniesie, jeżeli powiększę grono nieznanych „bohaterów narodowych”. On mnie więc nie znał wcale, a ja go tylko z ustnej, leguńskiej tradycji, która górskim strumykiem wartko płynęła czy to na placówkach, czy w ziemiankach, lub rezerwie, czy też w czasie marszu, jeżeli oczywiście nie miał człek nie lepszego do roboty i ochota dopisywała. Ale sam ten fakt, żeśmy się w Legjonach nie znali, nic nas nie obchodził. Gawędziliśmy ze szczerością i prostotą dzieci, bawiących się od bardzo dawna na jednym podwórku. Już ze dwie dobre fury wspomnień leżały przed nami. Wtem ks. kapelan z naiwnym smutkiem i naturalnym wstrętem rzekł cicho:

— Ależ te leguny piły, bo piły — niemożliwie!

Fe! fe! — i wstrząsnął się przy tych słowach, jak rasowy koń, kiedy go muchy obsiadają.

— Tak, tak! — potwierdziłem nieśmiało i zacząłem grzebać we „wspomnieniach pijackich”, chcąc jednocześnie zdać sobie sprawę z przyczyny, dla której Bachus miał takie w Legjonach powodzenie. Legun stanowczo nie był pijakiem zawodowym, a tylko chronicznym ochotnikiem, który miał matkę, a czasami jednego, albo i więcej mądrych braci, co to zostali w domu, nie wliczając w to oczywiście naszego mądrego społeczeństwa z okresu wielkiej wojny. Legun więc z natury swej był chronicznym ochotnikiem i pił na ochotnika. Dlaczego?

Przedewszystkiem, żeby nawiązać nić tradycji ze „starą wiarą”! Odwaga nikomu nie imponowała. Każdy umiał nadstawić łba i chętnie to czynił, więc na tem polu trudno było o konkurencję. Pić natomiast nie mógł, albo nie chciał każdy. Byli przecież tacy, co do końca wojny nie mieli ani papierosa w ustach, ani wódki, czy innego napoju o gorącym temperamencie, i to w imię zasady: „kto żyje dla idei, ten idea żyć musi”. No i gadaj tu z takim! Zresztą — co to mi za wiarus, co nie pije i nie klnie? A pan Zagłoba to nie pił? Ho, ho! i jeszcze jak! On poprawdzie łba tak bardzo nie nadstawił i zlekka zającą skórka był podszytym, ale za to język miał ostry, głowę mocną, chociaż trochę pustą, usta igrastwem kunstzownem wypchane i z natury swojej był hojnym — przecież Inflanty chciał podarować, a to są charakterystyczne cechy prawdziwego wiarusa. Albo w Legjonach Dąbrowskiego markietantki wodę sodową sprzedawały, czy co? A książe Józef to za kolnierz może wylewał? Teraz, panie dobrodziej, instytucji markietanckiej już niema i człek musi z konieczności lazić do jakiejś kantyny niemieckiej, by za austriackie pieniądze kupić głupią butelkę obrzydliwej i nieokreślonej lury, albo „na lewo” z prowiantury rum, lub wino fasować, albo wreszcie wypadu robić pokojowe na tabory „towarzyszów broni”, by zdobyć

kilka kropel gorącego napoju, nie patrząc wcale na jego jakość, ale na ilość, a to wszystko się robi potę tylko, żeby nic tradycji nawiązać z tą starą wiarą, która Bar widziała i Zieleńcę i Dubienkę i „z ziemi włoskiej do polskiej“ „za Niemen — hen! — precz“ się pchała, by krwią serdeczną wolność kupić.

Tradycja... tak, to prawda! tradycja Wojska Narodowego głęboko się wżarła w serca tych szaleńców, ale i serca te ból żarł wielki, serdeczny!... Co tu wreszcie owijać w bawełnę? Może się to komu nie podoba, może to kogo obrazić, a prawda prawdą zostanie: ci szaleńcy — to byli wtedy żołnierze bez ojczyzny, żołnierze bez społeczeństwa, bezdomni, jak mówi piosenka, tulące, których własne społeczeństwo znieważało, sztydząc z krwawej ich ofiary. Oh! rozpalonem do białości żelazem piekły nas wtedy te różne epitety „zdrajców narodu“, „narwańców“, „warjatów“, „bratobójców“ i t. d. i t. d. „Z motyką na słońce się porywają, szaleńcy!“ Prawda, to było szaleństwo, ale szaleństwo miłości i wiary! Ból więc żarł te młode serca... Ha, trudno! na to już rady nie było. Piosenką się wiara pocieszała, piosenką nieraz tak bolesną, jak bolesną była i droga, którą należało przejść, by celu dopiąć! Butelka zaś choć na kilka głupich chwil dawała zapomnienie, którego prawie każdy szukał. O! w tych „butelczanych chwilach“ wszystko było radosne, kochane i takie nasze, takie bardzo nasze! Naród z dumą patrzył na ten zaczątek Wojska i po męsku, z godnością odpierał judaszowe podszepty zaborców, matki nie miały „mądrych“ synów, lecz samych tylko legunów, w N. K. Enie siedzą same anioły i o ugodzie nie myślą, wszyscy jak jeden mąż otwierają dla armii narodowej swoje szkatuły i serca, wszyscy rażno pracują, by w przyszłej, wolnej Polsce nie płynęły łzy, bogacz uważa się za dzierzawcę tylko dóbr swoich i dla wspólnego pracuje dobra, nikt nie czuje „romansów po kościach“, rany nie boją, wszy nie gryzą, prowiantowic nawet nie kradnie! Tak! człowiek cierpiący potrzebuje czasami chwili zapomnienia, legun też jej szukał — i dlatego pił!

Prawda, surowy moralista powie, że to jest świństwo! Kto się jednak na to spojrzy z psychologicznego punktu widzenia, kto wnuknie w te młode dusze, co na stos ofiarny rzuciły wszystko, kto zrozumie to wielkie osamotnienie, ośladane przez „Ligi Baby“, kto wczuje się w te słoneczne serca, które głębiej, niż deklamatorzy przy zielonych lub kawiarzanych stolikach — odczuwały tragedję rozbiorów, podniesioną do zenitu w okopach Wielkiej Wojny, gdzie często brat musiał do brata strzelać na polskiej ziemi, lecz nie w imię Polski, kto, powtarzam, wczuje się w te młodzieńcze serca, które, nie oglądając się na nikogo — nie myśląc o karjerze, wszystko Ojczyźnie składając

w ofierze — nie mogły zapomnieć o przerażającej bierności, spodleniu i mazgajstwie własnego społeczeństwa, ten nie będzie się gorszył, że leguny pili...

I teraz, kiedy patrzę na to wszystko przez pryzmat 15-tu lat, kiedy sobie przypominam, że dawniej dobry humor leguński był normą moralności wojennej, ten humor, który potrafił mówić: „nie zabijaj wszów, albowiem one regulują cyrkulację krwi“, kiedy widzę te roześmiane od ucha do ucha gęby, posiadacze których aluminijum pękające szrapnelle, żeby zdobyć trochę legunijum na „krajową“ produkcję pierścionków, kiedy wywłóczę z pamięci te namiętne przy butelece sprzeczki o jakiś głupi szczegół z przeszłych bitew, ot np., czy na obiad w tym dniu był pećkak i rosół, czy gulasz, czy inne solidne, ale mocno przesolone świństwo, kiedy tak całą duszą obejmuję tę leguńską epopeję — teraz właśnie, w tej chwili, posmutniałem, a gdyby mnie kto chciał spytać:

— Dlaczego?

— Każdą przeszłość — odpowiem — „smutek złości“ w teraźniejszości!

— Ale wiecie?... mnie leguny chciały upić! — słyszę głos kapelana, który (może być głos, może być i kapelan ad libitum!) mnie wyrwał z zadumy.

— Nie może być?!

— Naprawdę!... I to trzy razy. Ot, szelmy!

— A Ojciec co na to?

— Zawsze ich „kiwnąłem“!

— O, to bardzo ciekawe! Może mi Ojciec opowie!...

— Miałem ja się z nimi, bo miałem!... Bractwo pilo na umór!... Sami dobrze wiecie... Niechby tam sobie i pili, tylko nie za wiele — w miarę, ale oni miar nie znali. Wszystka im mądrość szkolna z głowy wywietrzała. Najgorsze jednak dla mnie było to, że się — psie juchy — ciągle odgrażały: „Musimy kapelana upić!“ Ja tam, dzięki Bogu, głuchy nie jestem: słyszę, jak trawa rośnie — to też zauważyłem, że ciągle te psubrateskie spisek na mnie knuły. „Na baczość“ psia para nie mogłem ich postawić, bo kapelańska szarża takim heretykom nie imponuje, musiałem więc z konieczności uciekać się do fortelów — jedynej broni, jaką kapelan używać może na froncie. Wódki nie lubię od dzieciństwa. To nie jest wcale moja zasługa! Nie lubię i basta! Fizycznie jej wprost nie znoszę! A tu wiara poprzysięgła sobie ululać kapelana. Ano innej rady nie było: trza się bronić i kwita! Kiedy więc tylko na pijaństwo się zanośli, zawsze byłem w odwrocie. Szukając kapelana! Sodoma i Gomora! Gwar, rwetes, bęganina! „Fajfendekli“ jak psy gończe z wywieszonymi jęzorami — biegają na prawo i lewo, szukając O. Kosmę, ale bez rezultatu, bo kapelan się dobrze „zadekował“, jak każdy rasowy legun, kiedy tylko chce, albo kiedy ko-

nieczność tego wymaga. Wiedziałem przecież do-
brze, że dla mnie bractwo nie odłoży okazji do wy-
picia, bo to na froncie, jak na froncie: masz co wy-
pić — powiadają — wypij zaraz, a nie chcesz, to
kto inny za ciebie to zrobi! No i w taki sposób
z niejednej matnim się wywinął. Byłem pewny, że
nie upiją mnie. A i tu z jasnego nieba grom na
mnie pada: biskup Bandurski przyjeżdża na front!
Było to pod Maniewiczami. Ach! jak się nazywa ta
wioska, gdzie Brygada stała?

Zagrzebujemy się w pamięci. Na końcu języ-
ka jest, ha! przed oczyma, jak żywa stoi, a nazwa
nie chce przyjść. Już mieliśmy zrezygnować z dal-
szego poszukiwania, ale tu przecież o ścisłość hi-
storyczną chodzi, więc najmniejszej rzeczy бага-
telizować nie wolno!

— Już mam! już mam! Toć to było w Le-
śniewce.

— Prawda, w Leśniewce! — i cieszymy się jak
dzieci, że na strychu pamięci — między tylu ru-
piciami — znalazła się Leśniewka, do której wła-
śnie miał przyjechać biskup Bandurski, żeby le-
gunów na froncie odwiedzić.

— Otóż to! — ciągnie dalej kapelan — przy-
jazd do sztabu Biskupa Legunów jest dla wiary
doskonałą okazją do wypicia. Na bankiecie muszę
być koniecznie! Taktyki odwrotowej w tym wy-
padku już stosować nie mogłem. Nie da rady! trza
się przygotować do ataku. Obleciał mnie siarczy-
sty strach! Ja tam nie miałem strachu przed wód-
ką: uchlać się, jak świnią — niewielka sztuka!
Żeby im zrobić przyjemność, mógłbym się trochę
umartwić, no i pić z nimi, ale przecież nosilem ha-
bit — quod licet bovi, non licet Jovi — jestem księ-
dzem, co więcej — kapelanem legunów, dla któ-
rych nie masz świętości, jeżeli tylko ich ślepia
„zakazane“, ich węch „sakramencki“ spostrzeże
i poczuje śmieszna stronę. Ratunku już wtedy nie-
ma! Przepadłeś, człeczce, z gnatami! Familję ci po
kątach porozstawiają — i zdechl kot w butach!
Zresztą, wy to sami dobrze wiecie... Ja truchlałem
przed tą śmiesznością, bo wtedy i cały mój wpływ
na żołnierza rznąłby bezpowrotnie! Chodziłem
struty... miejsca sobie znaleźć nie mogłem. „Co tu
robić? co tu robić?“ — skrzeczała mi po głowie
myśl, jak polowy telefon w sztabie. A przygotowa-
nia pod komendą nieboszczyka Suliskowskiego na
całą parę idą! Sądny to był dzień dla mnie. Nic nie
mogłem wymyślić. Głową muru nie przebijesz.
Już nawet zrezygnowałem z obrony... Upiją mnie
— no to upiją! Nie ustępowało jednak rozdrażnie-
nie. Wszystko widziałem w czarnych kolorach,
a złość mnie taka ogarnęła, że ojjojjoj!!!! Wtem —
do tej pory nie mogę zdać sobie sprawy, dlacz-
ego — zawlokłem się do karczmy, gdzie miał się od-
być ten bankiet. Wszystko już tam prawie było

przygotowane. Oglądałem wszystkie kąty. Włazi mi
w oczy jakieś podwyższenie: to miała być estrada
dla orkiestry. I tu właśnie miałem chwilę jasnowi-
dzenia: „Ha, ha, ha! fest obrona! Nie upiją mnie!
Wygram bitwę!“ Humor wrócił. Uzbroiłem się
w kieliszek, szklankę — no i z radością w sercu
odchodzę do siebie...

Odsapnął trochę ksiądz kapelan. Widać było,
że to wszystko dzisiaj właśnie raz jeszcze przeży-
wa z niemniejszą siłą, jak wtedy — tam — w Le-
śniewce... Jego małe, żywe, bystre, ruchliwe
i szczerze oczy jakaś mgła przysionila: może to był
smutek..., może żal jakiś zmartwychwstały... może
tęsknota — może — ale nie wolno z kaloszami
włazić do innej, choćby najbardziej bratniej du-
szy, niech więc przyczyna tej mgły zostanie tajem-
nicą kapelana.

— Aż wreszcie przyszła ta osławiona uczta!
— przerywa z pewnym wysiłkiem milczenie le-
guński kapucyn. — Cała I Brygada z przyległo-
ściami wzięła w niej udział. Był Komendant. Same
grube były tam ryby. Nie będę wymieniał naz-
wisk, bo i poco? Pycha jeszcze mogłaby się przy-
plątać, że człek ma takie szerokie znajomości mię-
dzy dygnitarzami we współczesnej Polsce. Ja sobie
obrałem miejsce tuż przy orkiestrze ze względów
oczywiście strategicznych i zaraz przystępuję do
wykonania swoich planów obronnych.

— Masz tu szklankę i kieliszek — mówię do
pierwszego z brzegu muzykanta, pakując mu w łą-
pę te narzędzia do pijaństwa, — ja wam będą da-
wał pełne szklanki i kieliszki, a wy mnie — próżne.
Interes na tem zrobicie dobry! Tyłko szaa... ani mm...
mm... a robić mi po legunsku, żeby nikt z oficerów
nie zobaczył tego, zrozumiano?

Zabłysnęły wiarze ślepie. Gratka niezła im
wpada. Wiedziałem dobrze, że mnie nie zdradzą,
bo straciliby tylko. Zaczęto wychylać toasty.
Pierwszy, o ile sobie przypominam — za pomyśl-
ność Ojczyzny.

— Niech żyje Polska! — wrzeszczano, trzyma-
jąc w rękach kielichy.

— Ja to samo robiłem, z tą tylko różnicą, że
wtedy, gdy inni do ust nieśli kielichy, by je do dna
wysączyć, ja swój oddałem orkiestrze, a próżny
kielich natychmiast postawiłem na stole.

— Pierwszy atak się udał! — myślę sobie
z zadowoleniem. Byłem jednak porządnie osaczony.
Moi sąsiedzi przy stole pilnie zwracali uwagę
na kielich, stojący przed moim nakryciem, i na-
pełniali go sumiennie. Idzie drugi toast: ktoś z gru-
bych ryb wygłasza przemówienie, kończąc je
okrzykiem:

— Niech żyje biskup Bandurski!

(C. d. n.)

STANISŁAWA SOZAŃSKA.

Z przeżyć na Pokuciu 1914 — 1919 r.

V.

Po świętach przyjechała p. Gerzabkowa z Borysławia i przyszła do mnie z dr. Piechowiczem i ks. Chlebińskim, przynosząc 20 tysięcy koron od nafiarzy z Drohobycza i Borysławia, którzy dzięki staraniom Komitetu jeszcze w pierwszych dniach grudnia zostali uwolnieni i odjechali do domu. Między innymi byli: dyrektor kopalni Jakubowski, Biliński i Wietożyński. Oni to zorganizowali doraźną pomoc wśród nafiarzy i wystali p. Gerzabkową z wyraźnym zastrzeżeniem, że tylko na moje ręce ma być owa pokaźna kwota złożona i ja mam ją pokwitować. — Odmówiłam stanowczo, bo skarbniczką Komitetu była p. Jasińska, — ponieważ to było wieczór więc przenoceowała p. Gerzabkowa u mnie w domu a rano posłaliśmy obie do pani Miziewiczowej i tam złożyła ową kwotę. Na kwocie musiałam się podpisać, bo taki był warunek. Suma ta pokaźna, podratowała nasz stan finansowy, można było długi za pobrany chleb zapłacić i znów brać pewną ilość na kredyt. Wobec tego, że społeczeństwo zaczęło myśleć o staraniach Komitetu i wspierało materialnie, postanowiliśmy urządzić obiad dla internowanych na Kosaczowie, w dzień N. Roku 1919. Udałam się do komendy z prośbą, by racje mięsa przeznaczone przez Ukraińców, nam oddano w tym dniu, na co wydano pozwolenie. Mąż mój pojechał na Werbiąż (wieś obok Kołomyi) i tam kupił 4 ćwiartki mięsa, taniej o 5 haterzy na klg. aniżeli w mieście, co robiło znaczną różnicę w pieniądzach na kilkudziesięciu klg. mięsa. Kilka pań z Komitetu poszło ze mną pieszo na Kosaczów, by tymczasowo rozdzielić chleb. Krajałyśmy 1 klg. bochenek na 4 części zatem 400 bochenków na 1600 ludzi. Pani Germańska i panna Gertruda Manówna sądząc, że to nie licuje z godnością komitetowych, tak być pokornym jak ja, mając w ręku pozwolenie komendy miasta nie pytały Słobodziana gdzie może stanąć fura z chlebem, ale poszły w kierunku baraków a za nimi potoczył się wóz z chlebem. Ja zaś weszłam do kuchni, by ugościć papierosami kucharza ukraińca i z przybraną miną prosić go, by pozwolił dziś sobie pomóc, bo my chcemy gotować obiad na nasz sposób, zaznaczyłam, że komendant Halibej pozwolił.

Ledwie się przywitałam z kucharzem, słysząc krzyk i wołanie posterunków. To Słobodziań d... się jak furjat, każe fury wyrzucać poza druty

a paniom wynieść się. Udając, że niewiem o co chodzi — proszę, by się nie irytował. Lecz on krzychał: „Ja tu gazda, bez mene nichto tu ne maje nijakoho prawa — wasze prawo je w kacylaryi tabornu pytaty czy ja pozwolu“ itd. Bierę winę na siebie i proszę, by mnie wysłuchał, mówiąc: „To ja zapomniałam panie obie poinformować a one pierwszy raz tu, jak pan komendant widzi, bardzo przepraszam i nigdy nic podobnego się nie stanie“. Odsapnął trochę, ale wciąż zły jeszcze wpada do kuchni, krzyczy na kucharza, że nieczysto, chociaż nigdy nie było inaczej. Gdy szło o dostarczanie przepustki internowanemu, informowałam go przez trzecią osobę — innego zgłaszałam chorym a dla innego była przepustka z kancelarji POW., w której działał najwięcej ów Surowiec, ja i jeszcze dwie osoby, prof. Sliwa Jan i Donschak Franciszek, technik. Udając pokorniejszej prosiłam komend. Popiela, by pozwolił podać choremu rękomo. trochę cukru mialkiego do herbaty, pokazując torebkę, zaglądnął i kazał żołnierzowi odprowadzić mnie do baraku, tam w obecności „posterunku“ oddałam cukier internowanemu, mówiąc: „pan komendant pozwolił: niechże pan pije ciepłą herbatę a będzie lepiej i wychodziłam — tam właśnie w cukrze na spodzie torebki była przepustka, lecz nie dla tego internowanego, któremu cukier podałam.

Roznaitych sztuczek tym podobnych używałam i wyprawiałam odważniejszych w świat przez szereg tygodni a ukraińcy nie przypuszczali zupełnie bym ja brała udział w uciezkach internowanych, uważali mnie za działaczkę humanitarną, o czem świadczy, że często komendant wprost do mnie odnosił się celem umieszczenia intern. na prywatne mieszkanie; również kiedy konieczność zmuszała ukraińców do starania się o pomieszczenie rekonwalescentów (po tyfusie) ponieważ wszystkie szpitale przepełnione były chorymi na tyfus brzuszny, a nawet plamisty — przyjechał ośobiście komendant Halibej do Bursy ludowej i wezwał mnie tam, prosząc, bym dla dobra internowanych urządziła w budynku Bursy, szpitalik a umieszczonych tam zdrowych, dała na prywatne mieszkanie lub na Kosaczów z powrotem.

Ani pomyśleć nie chciałam o czemś podobnem i postanowiłam internowanych zdrowych umieścić na piętrze, zaś chorym oddać pokoje w parterze, ponieważ było osobne wyjście, pogodziłam

dobrze z koniecznym. Rozpoczęła się znów biegająca od domu do domu, zebrząc o prześcieradła, kocyki i inne niezbędne rzeczy, potrzebne w szpitaliku. Po widzicie p. Halibeja po dwóch dniach przyprowadzono 11 rekonwalescentów. Biedacy trzęśli się ze zimna, głodu i osłabienia. W dwóch pokojach było napalono i łóżka przygotowane, lecz brak było koców do nakrycia — przyniosłam z domu co mogłam, a w końcu zabrałam kilkunietrowy chodnik kilimowy z wełny i tem przykryłam trzech jeszcze chorych Leg., między nimi był ciężko chory na płuca jeniec Grzybowski z Częstochowy. Szpitalik oddałam pod opiekę dziś śp. Felicji Dwernickiej, która była prawdziwym aniołem opiekuńczym dla tych biedaków, dalej Surowiec intern., który miał przepustkę do chodzenia po mieście i chodził wciąż po lekarza i lekarstwa, a Józefa i Felicja Januszewiczówna, mimo, że były same biedne, bezinteresownie pełniły obowiązki sanitariuszek przez szereg miesięcy, zmieniając się naprzemiennie w dzień i w noc a z końcem kwietnia 1919 r. rozchorowały się na tyfus. Felicja Dwernicka złożyła swe życie za Internowanych w marcu 1919 roku również na tyfus.

Pewnego razu będąc w Kosaczowie prosiłam komendanta, by pozwolił wziąć na prywatne mieszkanie bratanka ks. Chlebińskiego, internowanego, ponieważ mały Chlebiński, 15-letni jeniec, był w gorączce tyfusowej, pozwolili ukraińcy zabrać go do Bursy. Do Bursy wnieśli go Internowani; chłopak miał wygląd zwierzęcia, cały osmolony, zupełnie czarny z brudu, włosy najezzone, od szeregu miesięcy nie myty i nie czesany, a do tego obłąkany wyraz rozgorączkowanego oczu — obraz straszny! nie do opisania. Zanim poszedł do łóżka, obmyłam go ciepłą wodą, mydłem i gąbką — skóra na twarzy trochę przejaśniała, lecz o czesaniu nie było mowy, to był jeden kółtan na głowie.

Właśnie w czasie kiedy myłam Chlebińskiego — Dwernicka przygotowywała ciepłą herbatę, a Janusiewiczówna krzątała się, by uścielić łóżko, przyjechał śp. dr. Piaskiewicz, który bezinteresownie leczył chorych internowanych, i już od progu krzyknął na mnie: „czy pani oszalała, on w najwyższej gorączce tyfusowej!“ A przecież ani ja ani najbliżsi w domu nie zachorowali. Często zdarzało się, że wracając z Kosaczowa, wszy łaziły po moim czarnym płaszczu, tak wchodziłam do komendy miasta a p. Halibej zdejmował papierkami z mego okrycia nieproszonych gości. — Ukraińcy przysłali też chorego Fenca (nazwisko było zmyślone jak się później okazało), lecz wszów miał tyle, że wprost włosy na głowie ruszały się; by takiego osobnika oczyścić, urządziłam w prackarni na dziedzińcu łaźni i ró-

wnocześnie było tam łóżko. by mógł się tam kąpać, myć i spać — do mycia głowy dawałam do wody dość duży procent benzyny. Po kilkudniowej kwarantannie umieszczano się rekonwalescentów na salce. Świadkiem naszych prac był też żołnierz ukraiński, który miał najłżejszą służbę, bo dobrze jadł — wszak dogadaliśmy mu — i spał w osobnym pokoiku na pierwszym piętrze. Był grzeczny i nie dokuczał nikomu, uważał czy internowani i Komitet zachowują się wedle zarządzenia komendy miasta. Często mimo jego obecności był uciekinier w gronie internowanych, a kiedy zbliżała się chwila ucieczki osobnika i czyniłam przygotowania tam w Bursie razem z Rogowskim lub Rolinskim Edwardem (który jest obecnie inspektorem dóbr państw. w Poznaniu), wtedy to moi chłopcy akademicy internowani zapraszali do siebie t. zn. do swego pokoju żołnierza, częstowali go wódką i papierosami rozmownie kupionemi i grali z nim w karty. My zaś w kuchni na dole dawaliśmy zdecydowanemu do ucieczki trochę pieniędzy, chleba, cukru i często tylko kawałek słoniny, no i najważniejszą rzecz „przepustkę“.

Tak wyprawiałam tygodniowo po kilku a nawet klikunastu przez Kosów, Nadwórne a nawet Delatyn, Worochtę w Karpaty na Węgry. Przez Worochtę było nawet bezpieczniej bo pomagała nam żona ówczesnego komendanta ukr. Hryciana obecnie współwłaściciela w Sopowie, polka. Janina Chłopicka z domu, właścicielka Sopowa. Ona to wpływała na męża, który ulegał jej prośbom, mimo że był ukraińskim oficerem, złapanych tam uciekinierów sam w nocy wypuszczał z więzienia. Innych znów wyprawiałam przez Śniatyn do Kniażego, do dworu przeznaczonych pp. Jaruzelskich lub do Popielnik, do panów Agopowiczów, którzy żadnemu nie odmówili schronienia i pomocy w ucieczce.

* * *

Niewiem od kogo dowiedziała się Organizacja, że można podobne sprawy mnie zaufać — robiłam zwykle tajnie w gronie tylko kilku osób, lecz jednego razu podczas posiedzenia naszego Komitetu przystąpiła do mnie przewodnicząca p. Miziewiczowa z prośbą byśmy przeszły do drugiego pokoju, bo ma coś poufnie powiedzieć. W drugim pokoju czekała już wysłanka Organizacji no i nieśmiało zapytała się czy też ja bym się nie zdecydowała przetrzymać u siebie niejakiemu Mellera Emila, który chce uciekać i ma wziąć ze sobą wiadomości i zawieść takowe do Krakowa lub Warszawy. — Zgodziłam się, ukrywając go przez długich 9 dni. Ponieważ wuj jego niejaki p. Torbée ręczył za niego — trzeba było zdjąć porękę, bo inaczej byłiby tamtego uwieźli.

(C. d. n.).

J. KRZESŁAWSKI.

Socjaliści w Legionach

Każdy bezstronny obserwator, interesujący się w latach 1911—1914 strzelcami, drużynami, związkami i innymi organizacjami tego typu, grupującymi młodzież włościańską, robotniczą oraz akademicką, przyznać musiał, że socjaliści w całym tym ruchu odgrywali rolę pierwiastka kierującego. Oni rozwijali najwięcej energii i z ich to szeregów wyszli najwybitniejsi kierownicy i działacze Legionów: Sosnkowski, Rydz-Śmigły, Sławek, nie mówiąc już o samym Piłsudskim, a z poległych: Kruk, Gibalski, Krynicki, Bojarski i tylu, tylu innych. Oni oddziaływali przez długi czas na ideologię ruchu.

Najłatwiej bodaj przychodziło wdrożyć się do życia wojskowego z jego rygorami i hierarchją tym P. P. S-owcom, którzy pracowali poprzednio w Organizacji Bojowej i w niej podlegali rygorom wojskowym. Z innymi bywało o wiele trudniej. Nic dziwnego zresztą. Socjalista w wolności żyje, do wolności wzdycha. Wyrzeczenie się wolności dla karnej służby było ciężką ofiarą, choć ofiarą dobrowolną.

Przystosowanie się lub nieprzystosowanie P. P. S-owca w mundurze strzeleckim, a później wojskowym nie było jednak najważniejszą rzeczą. O wiele ważniejszą rzeczą były pytania, które sobie towarzysze zadawali:

— Czy nie sprzeniewierzam się przez swą służbę w wojsku ideałom całego życia? Czy nie odbiegam w sposób niepostrzeżony od swego życia duchowego? Czy żołnierz nie zabije we mnie czującego człowieka? Co powiedzą moi w Królestwie, gdy zobaczą mnie wkraczającego w mundurze, zamiast jak zwykle, z bibułą i z dobrą nowiną socjalistyczną? Czy ocalę swoje dawne „ja” w tej wielkiej zawierusze dziejowej?

Nielatwo było odpowiedzieć na nie samemu sobie, a cóż dopiero innemu.

Czasem powstawały konflikty, a wtedy każdy rozumiał, że sposób ich rozstrzygnięcia będzie pośrednią odpowiedzią na jego pytanie. Raz naprzykład już podczas wojny plutonowy, wywodzący się z obozu „narodowo-niepodległościowego” zabronił szeregowcom - socjalistom śpiewania podczas marszu „Czerwonego Sztandaru”. Powstała burza. Narazie zakazu usłuchano, ale złożono o tem meldunek i sprawa musiała się oprzeć o najwyższe władze.

Nikt nie wiedział jak Piłsudski sprawę rozstrzygnie. Niektórzy sądzili, że zabroni, jak zabronił niedawno śpiewania pieśni rewolucyjnych

rosyjskich (zresztą zupełnie słusznie, bo śpiewanie tych pieśni mogło zdezorientować ludność). Ale Piłsudski pozwolił, mówiąc, że w śpiewaniu „Czerwonego Sztandaru” nic złego nie widzi. Wielką była z tego powodu radość. „Dziadek” — mówiono — „nie się nie zmienił”.

To też wkraczając na przedmieścia Kielc, używano sobie, śpiewając gremjalnie w tych oddziałach, w których socjaliści stanowili przewagę „Czerwonego”. Wrażenie było dobre. Ludność rozumiała, że to przychodzą jacyś swoi, ci sami, których po roku 1906 nagle w kraju zabrakło, a nie jakieś obce „Sokoły”, o których kozacy tyle opowiadali, jako o dzikusach i „krwiopijcach”.

Najbardziej zaś upamiętniła mi się mowa Komendanta Piłsudskiego w Szolomy pod Lwowem. Było to w maju 1912 roku na Zielone Świątki. Posłaliśmy z całym Związkiem Strzeleckim na ćwiczenia dwudniowe do wsi ukraińskiej Szolomy, gdzieśmy przenocowali. Rano zawiadamiają nas, że Komendant przyjechał, i jest z nami. Potem drugi meldunek, że będzie zbiórka i przemówienie. Wielka sensacja, bo takie przemówienia należały do rzadkości.

Piłsudski mówił najpierw krótko o brakach, jakie zauważył z punktu widzenia wojskowego, a potem przeszedł do tematów ogólniejszych i nawiązując do hołdu, jaki mu złożyli niedawno komendanci wszystkich oddziałów strzeleckich w imieniu ogółu, zaczął zapytywać siebie, czemu to zawdzięcza. Niewątpliwie strzelcy chcieli w nim uczcić nie tylko inicjatywę bojową, jaką teraz podejmuje, nie tylko jego zalety organizatora i dowódcy, lecz całą przeszłość rewolucyjną, z której wyszedł, a zwłaszcza jego pracę w PPS. Czcząc go, podkomendanci czcili z pewnością bohaterską walkę o wolność i niepodległość w szeregach tego obozu.

Wrażenie tej mowy było ogromne. P. P. S-owcy cieszyli się i byli bardzo dumni. Inni, którzy może nieraz przystąpili do szeregów strzeleckich raczej z powodu żylki sportowej, niż wskutek głębokiego przemyślenia znaczenia całego ruchu, zastanowili się po raz pierwszy nad swoim posłannictwem, spoważniali i okrzepli.

Pamiętam, jak po tej mowie do mnie, który miałem dużo zastrzeżeń, podeszli, Krynicki, Rvś i zdaje się Belina, pytając, czy jestem zadowolony. Potwierdziłem to bez wahania.

Gdy teraz w rocznicę bitwy pod Czarkową (25 IX 1914), odbywają się uroczystości ku czci

poległych na miejscu walki, stają mi przed oczyma obrazy z tamtych czasów. Przed nami płonąca Czarkowa i Ksany, o wiorstę od nas nieustający turkot karabinów maszynowych, dziesiątkujący eksponowany oddział Młota, za nami wezbrana Wisła, uniesione powodzią pontony, stracona nadzieja na posiłki austriackie. Rodzi się przekonanie, że wszystko stracone, że żywa noga Legjonisty ująć nie może z tej szkaradnej matni. W tyle za nami Opatowiec, skąd mimo ciężkiego położenia, rozbrzmiewa przez noc całą pieśń Legjonowa.

Przed miasteczkiem za drogą w rowie — my socjaliści, którzyśmy się skoncentrowali przede wszystkim w lotnym oddziale I-szej Brygady. Jest i Stanisław i Stanisław i Szczepny i Bernard i Poniatowski i dwaj bracia Kuczewscy i tylu, tylu innych z sekcji lwowskiej, z sekcji krakowskiej P. P. S. Odbieramy meldunki, z każdą godziną gorsze. Przystajemy rozumieć, dlaczego wojsko rosyjskie, o tyle liczniejsze od nas, nie korzysta z wyjątkowo ciężkiej dla nas sytuacji i nas nie zmiadźzy. Rozważamy możliwość przebicia się

w razie katastrofy lewym brzegiem Wisły na zachód, ale nie bardzo w to wierzymy.

Ranek przynosi ocalenie. Nieprzyjacieli nie zrozumiał położenia i nie skorzystał z okazji. Żyjemy i żyć będziemy. Powraca wiara w zwycięstwo. Przeprowadzamy się raniem. Nasz oddział przeprowadza się jeden z ostatnich, osłaniając odwrót za Wisłę. Jedni z ostatnich przeprowadzają się Piłsudski i Sosnkowski. Ten ostatni stoi wciąż przy miejscu przeprowady, imponując swoim niezruszonym spokojem.

Oto przewożą tratwą ciała zabitych pod Czarkową. Wśród nich poznaję mego ucznia Sygryca oraz Grabińskiego, współtowarzysza wziętym celu. Ktoś z przyjaciół odbiera mu gwizdawkę, i inne przedmioty, aby jako pamiątki oddać matce.

Już jesteśmy na drugim brzegu. Rozpoczynają się rozmowy o przebytych niebezpieczeństwach i trudzie.

W Czarkowej pożar dogasa. Już tylko dym unosi się ze spalonych chałup, widny z oddali.

(Z „Robotnika“, 1928 r.)

JAN STAROŚCIAK.

Z dywizją polską na Syberji.

Niejednokrotnie w następstwie tego nieprzebiegania w środkach okazywało się później, że oficerowie Polskiej Dywizji nie znali wcale komendy polskiej — ba nawet języka, lecz nie w tem dziwnego, gdyż w większości wypadków byli to rdzenni Rosjanie, którzy szukali schronienia u Polaków, a że byli mile widziani i przyjmowani z honorami, przeto garnęli się gremjalnie.

To nieprzybieranie w ochotnikach, nie badanie ich dokumentów, odbiło się dotkliwie wkrótce na całości wojska polskiego, gdy agitatorzy bolszewicy pod maską żołnierzy polskich, zrewoltowali 4 pułk piechoty, wydali ze swego grona sławnego Gromowa, który jako żołnierz 2-go pułku piechoty po przeprowadzeniu propagandy oraz zebraniu potrzebnych informacji i planów uciekł, by następnie stanąć na czele 40.000 armji złożonej z powstańców bolszewickich okręgów barmulskiego, zadając niejednokrotnie dotkliwe klęski wojskom rosyjskim i naszym. Następnie oddzielny bataljon litewski — sformowany staraniem Rumscy i cieszący się jego szczególnymi względami — wymordowawszy poprzednio swych oficerów, przeszedł w całości na stronę bolszewików — odwracając niezwłocznie oręż przeciwko swym braciom. Bohaterowie kil-

kakrotnych spisków bolszewickich na całość wojska polskiego na szczęście wykryci — kończyli swe życie pod „Sucharnym zasodem“ padając jako zdrajcy od kul żandarmjerji polskiej.

Pozostała reszta żołnierzy była elementem, który można podzielić na dwie kategorie. Jedni ludzie apolityczni lub też politycznie nie rozwinięci złożeni wyłącznie z byłych jeńców wojennych o walce z bolszewikami słyszeć nawet nie chcieli pragnąc jedynie jaknajprędzej dostać się do kraju. Druga zaś kategoria stanowiąca Polaków poddanych rosyjskich złożona przeważnie z szumowin społecznych walczyła z bolszewikami z ochotą, lecz bynajmniej nie dla idei, lecz wyłącznie dla zysków osobistych w tym wypadku z rabunku wsi i miast zajętych po walkach.

Najidealniejszą częścią tego wojska prócz niewielu oficerów byli legjonści obu brygad, którzy niestety stanowili nader znikomą garstkę. Lecz i ci pomnąc swego komendanta Piłsudskiego, tą miłość braterską, równość i spójność, czuli się tutaj obco, gdyż V-ta dywizja daleką była od ideału wojska polskiego.

Żołnierz V-jej dywizji tak daleko oddalony od swych miejsc rodzinnych nie zaznał niestety tego ciepła od swych rodaków — przełożonych. Pomiedzy przełożonym a podwładnym było

całe morze różnic, nie też dziwnego, że w ludziach tych oddalonych od ojczyzny tysiąca wiorst miłość braterska wygasła, a jej miejsce zajął bezwzględny egoizm. Przełożony widział w swoim podwładnym przewrotowca — podwładny w przełożonym tyrana. Jeden rozkazywał w poczuciu swej władzy, drugi spełniał ten rozkaz z musu nie z obowiązku, niekryjąc się bynajmniej z nienawicią wobec rozkazodawcy.

Istniały wprawdzie przy V-iej dywizji placówki kulturalne jak teatr żołnierza, stołownia i t. p. lecz to wszystko nie mogło po pierwsze przyjąć w swe szczipłe mury kilkanaście tysięcy ludzi, powtóre, prawdę rzekniesz, czynione było dla reklamy większością staraniem i pomocą materialną stowarzyszenia amerykańskiego J. M. C. A., a także by w administracji, zespole artystycznym i t. d. umieścić swych pupili oraz szereg kobiet będących przedmiotem uwielbienia jednego naszego sztabowca, a które w Nowo-Nikołajewsku ze względu na olbrzymi garnizon i brak tych ostatnich cenione były na wagę złota i związków małżeńskich.

Sami zaś dowódcy V-iej dywizji należeli do wręcz odrębnych typów, mając swoje plany i cele.

Pułk. Czuma najbardziej lubiany przez żołnierzy, nielubiany natomiast przez wszystkich niemal oficerów i żołnierzy pochodzących z byłej armji rosyjskiej, starał się wszelkimi sposobami unikać zbrojnego starcia z bolszewikami, a szczerząc krew polską, pragnął całą dywizję przyprowadzić do kraju.

Zajadłym przeciwnikiem jego był dowódca V-iej dywizji pułk. Rumsza. Jako były oficer armji carskiej oraz obywatel rosyjski, zagorszały rusofil i monarchista, zaufany admirała Kołczaka, na mocy jakichś poufnych paktów z tym ostatnim, całą siłą parł i dążył do walki z bolszewikami, broniąc przy tem swe prywatne interesy w postaci ziemi i fabryk, jakie posiadał w Rosji. Człowiek ten był zdania, że jego dywizja powinna bronić interesów jego i jego ojczyzny Rosji do ostatniego żołnierza, do ostatniej kropli krwi. Krwią polską szafował na prawo i lewo, wyraz „straty w ludziach” był dlań nie znany. — Jako żołnierz był zdolny i odważny, lecz jako dowódca Polaków, był dla nich zgubą. Zniemawidzony przez żołnierzy, ubóstwiany był niemal przez karjerowiczów-sztabowców, oraz przez męty szukające w wojnie zysków z grabieży.

Trzeci z rzędu dowódca tego wojska podpułk. Skorobohaty, zdania osobistego bądź nie miał, bądź też nie wygłaszał, ograniczając się jedynie do wykonywania rozkazów tak pierw-

szego jak i drugiego. W ogółu ści biorąc, była to osobistość nader sympatyczna.

W przeciągu dwutygodniowego pobytu mego na placu zbornym w Czelabińsku, liczba stale napływających ochotników wzrosła do ilości dobrych dwóch plutonów, które po częściowemu umundurowaniu kosztem wojsk rosyjskich i czeskich, a nawet kosztem zamożniejszych wolutarjuszów, odesłano do miasta Bogurustania, gdzie znajdował się nasz garnizon. Podróż naszą bez szczególnych przygód ukończyliśmy w przeciągu trzech dni.

W Bogurusłaniu prócz załogi rosyjskiej, złożonej zaledwie z 50 ludzi, pełniące służbę w komendzie miasta, oraz nieznacznego oddziału milicji miejskiej, ochrona miasta powierzona była bataljonowi polskiemu, dowodzonemu przez por. Jaworskiego, który pełnił równocześnie funkcje komendanta kompanji szkolnej. Wspomniany bataljon był początkiem późniejszego I-go pułku piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Prócz tego stacja kolejowa ubezpieczona była oddziałem wojsk czeskich, który służbę pełnił górlowie nie tak dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa samej stacji, jak raczej dla ochrony swej doskonałe wyposażonej intendencji.

Rządy bolszewickie, rozgromione przez miejscową „białą gwardję” i wojska czeskie, pozostawiły gdzieś tam swe krwawe ślady, a terytorizowana poprzednio ludność, niedowierająca nowym porządkom rzeczy, zachowywała się względem nas z rezerwą i niedowierzaniem.

Garnizon, jak w mieście powiatowem, był nieliczny, zaś o uzupełnieniu nie było mowy, gdyż wojska sprzymierzone staczały bitwy z bolszewikami pod Samarą.

Tak w dzień, jak i w nocy, zmuszeni byliśmy czuwać, albowiem miejscowa hydra bolszewicka — doskonale ukryta przed naszym wzrokiem i zakonspirowana — nie omyślała korzystać z każdej nadarzającej się sposobności, by tu i ówdzie zamordować żołnierza wrogiej im armji lub też wykonać zamach na obiekty wojskowe, magazyny broni, prowiantów i t. d. Stosunki tego rodzaju zmuszały nas do zachowania najdalej idących środków ostrożności.

Za kwaterę służyły nam wstrętne, skłeczone z desek baraki-ziemiarki, położone na krańcach miasta i stanowiące spuściznę po jeńcach wojennych. W mieście istniały wprawdzie murowane kasarnie, lecz te zajęte były przez komendę miasta i rosyjski plac zborny, gdzie gromadząco gorączkowo zbierane pokazne zastępy ochotników rosyjskich, które wcielone do „armji narodowej”, wysyłane były niezwłocznie na front.

Podczas naszego pobytu w Bogurusłaniu pew-

nego dnia przygalopowało do nas na pięknych koniach kilkunasu jeźdźców, doskonale uzbrojonych, odzianych w granatowe sukienne mundury, w angielskich czapkach o białych ostokach, ozdobionych białymi orłami. Zgłosiwszy się na placu zbórnym, oświadczyli gotowość wstąpienia w szeregi wojska polskiego, zapodając, że są ułanami polskiego pułku mazowieckiego, walczącego po stronie armji czerwonej. Prawdopodobnie były to szczątki armji gen. Dowbór-Muśnickiego, której część dostała się do niewoli bolszewickiej, bądź przeszła na ich stronę.

Oficerowie nasi przyjęli ich nie bardzo chętnie. W pierwszej chwili chciano odebrać im konie, na którym to tle powstała dość niemiła scysja, gdyż ułani odmówili wydania koni i dosiadłszy swych koni, mieli zamiar udać się z powrotem do bolszewików. Udało się to tylko trzem, którzy wskoczyli na konie i w następnej już chwili zniknęli nam z oczu, reszta zaś, otoczona przez nasze oddziały, musiała kapitulować. Rozbrojony ten oddział został wkońcu osadzony w areszcie, nasi zaś oficerowie postawili na swoim, zagarniając dla siebie wszystkie rasowe konie. Garstka tych jeźdźców, którzy tak niefortunnie zaczęli karierę w wojsku polskim, wcielona następnie do 5-tej dywizji, była kadrami imponującego później I-go pułku ułanów.

Siły nasze podczas trzymiesięcznego pobytu w Bogurusłaniu pokaźnie wzrosły, zasilane stale licznym ochotnikiem, a raczej rekrutem, pochodzącym z jeńców wojennych, których brano do wojska mimo ich woli.

Organizacja nasza, pomyślnie się rozwijając, stworzyła w Bogurusłaniu prócz istniejącego oddziału piechoty — szkołę oficerską i bataljon techniczny.

Początkowo rzekomym celem naszej siły zbrojnej było organizowanie się, by w razie rozbicia nawały bolszewickiej przez wojska armji rosyjskiej, przejść z bronią w rękę przez Rosję europejską do Polski. Przyszłość jednak wykazała, że nasi politycy byli bądź krótkowzroczni, bądź też wiedząc o faktycznym celu naszej armji, prowadzili względem jej członków dwulicową taktykę.

Armja narodowa rosyjska poczęła się chwiać na frontach, zaś w niedługim już czasie, nie mogąc zdziżyć nawały bolszewickiej — poczęła się stale cofać, odstepując w kierunku gór uralskich.

Od napływających oddziałów cofających się wojsk rosyjskich dowiedzieliśmy się, że bolszewicy nie są bynajmniej taką bandą, za jaką ich powszechnie uważano i prędzej zdolają oni zająć Omsk, niż my Moskwę. Te i tym podobne niepokojące nowiny zdołały wycisnąć na naszych dowódcach pewien cień zwątpienia.

W drugiej połowie października 1918 roku, wojska czerwone, rozbiwszy po zaciętej bitwie i zmusiwszy do odstąpienia armję narodową — zajęły Samarę. Nie napotykając następnie na poważniejszy opór ze strony uciekającej niemal w popłochu armji narodowej, zajmowali w dalszym ciągu coraz to nowe punkty strategiczne i pozycje.

Główny sztab armji rosyjskiej, widząc, że przy obecnem rozprężeniu, jakie miało miejsce w armji narodowej, nie zdoła powstrzymać nawały bolszewickiej, oraz pragnąc gdzieś dalej od frontu zasilić przeredzone swe oddziały rezerwami, nakazał czynić przygotowania do ewakuacji Bogurusłania. Ewakuację należało przeprowadzić w przyspieszonym tempie, ponieważ w samym mieście, prócz wielu magazynów i składów wojskowych, znajdowały się olbrzymie składy amunicji artylerji rosyjskiej.

Stacja kolejowa poczęła niebawem zapełniać się eszelonami uchodzących wojsk oraz uciekinierami, którzy wieźli z sobą cały niemal swój dobytek.

W przeciągu kilku dni wyczerpanej pracy nad przeprowadzeniem planowej ewakuacji, zdoławszy wkońcu załadować zawartość wszelkich magazynów wojskowych do wagonów — sami opuściliśmy stację w eszelonie, posuwając się w kierunku wschodnim, jako arjergarda.

Był to już czas najwyższy, albowiem armja czerwona podchodziła już pod miasto. Podróż naszą odbywaliśmy niemal pod gradem kul napierającego bezustannie nieprzyjaciela. Cały tydzień trzymaliśmy ostre pogotowie, stacząc po kilkakroć razy dziennie utarczki z przednimi strażami bolszewików i dopiero pod miastem Bogulmą zostaliśmy zmienieni przez świeże oddziały armji narodowej, która z armją czeską stawiała naszym prześladowcom należyty opór.

Nie zatrzymując się w Bogulmie, wyruszyliśmy w dalszą drogę i w parę dni później przybyliśmy do Ufy.

(Dalszy ciąg nastąpi).



RAFAŁ HIRSCH.

weteran 1863 r.

Wspomnienia z 1863 r.

Dzień był piękny, polana leśna miła, chcieliśmy zabawić pamiętnych gości. Więc urządzono popisy, szermierki piesze — turnieje. Około godziny czwartej lub później — tj. popołudniu — uciżyło się w obozie. Zadni goście odjechali.

Był z nami czternastoletni Żelesław Zaborski, jeden syn rodziców dość zamożnych z Lublina. Rodzice jego dwa razy, jako małoletniego, z oddziału dostawili do domu, — lecz on im po trzeci raz już uszedł. Niewysoki, ale krępy chłopak, blondynek rumiany i dobrze zbudowany; oczka niebieskie — gonił na koniku karym. Pokochaliśmy się zgodnie bardzo i dobrze nam obu było.

Ja opiekowałem się jego „żmudzinem“, on — kręcąc się zawsze jako dziwo przy sztabowych, zasilał mię przysmakami ze stołów dworskich i papierosami. Na głowie nosił czerwoną rogatywkę, barankiem czarnym obramowaną, buńczucznie kulą karabinową moskiewską nad czołem przedziurawioną. Dowiedziałem się po upływie jakich lat trzydziestu, że dzierżawi hotel w Warszawie i że mu się dobrze powodzi.

Dnia pewnego pochód nasz wyszedłszy z borów leśnych, ciągnął się płaszczyną polem, zakrętył nie głębokim wąwozem. Oddział nasz skręcił na prawo. Okazał się nam dwór z pięknym parkiem.

W budynkach tych zaraz z miejsca zakwaterowano oddział brawurowych „Ćwieków“, około 40 kilku ludzi liczący. Na podwórze dworu z pięknym pałacykiem zamarszerował oddział „Jamińczuków“ z czerwonymi czapicami i kawalerja. Piechotę zakwaterowano w dogodnych oficynach, przed którymi ustawiła ona karabiny w kozłach, z zaciągniętym szyldwachem. Kawalerja umieściła się w dworskich stajniach, również w liczbie około 40-tu ludzi.

Sztab, z oficerów i komendantów złożony, stanął, rzecz prosta, we dworze.

W chwilę potem przydeptał do mnie Żelesławek i rzekł mi:

— Jesteśmy obaj zaproszeni na salony.

— A! to poco? — pytam go.

— Nie wiem, ale adjutant Kozioracki posłał mnie po ciebie i kazał, żebyśmy przyszli.

— No, chodźmy! — mówię.

Stawiliśmy się przed oblicze adjutanta, który przedstawił mnie zbrany jako dzielnego jeźdźca i z szarżą kaprała pierwszego plutonu strzelców konnych, rodem z Galicji. poczem panowie — mimo moich młodych lat — na powitanie podali mi ręce, a panie zapraszały, bym usiadł. Zapro-

szono mnie do drugiej komnaty, gdzie uderzył moje oczy stół zastawiony jadłem.

Służący w liberji z szpakowatemi bokobrodami, podał mi na tacy kielich różanego koloru wódka, którą łapczywie wypilem, przykąsek było dość obficie, więc też nie skąpiłem sobie, szybko to, jak na popasie, w towarzystwie Żelesławka, załatwiając. Szynka soczysta, ser z kminkiem, różne inne przysmaki, oblane filiżanką wonnej herbaty i kieliszkiem wina — wszystko to pomieściło się w harmonijnej zgodzie z ochotą mojego żołądka.

Niedługo potem zjawił się adjutant, wezwał nas do salonu i ustawił przed klawikordem. Stał obok mnie Żelesławek i porucznik od piechoty, był to tercet wypróbowany już, który nas czasem zaszczycał. Uderzyły piękne ręczki w klawisz fortepianu, akord nastroił chór trójki do śpiewu: „Na Wawel, na Wawel, krakowiaczku żwawy“. Znaną nam pieśń „krakowiaka“ odśpiewaliśmy przy fortepinie chórem. Posypały się oklaski i aplauzy dla śpiewaków.

Żelesławek musiał jeszcze odśpiewać piosenkę naszą obozową „Na wojence jak to ładnie“, a ja popisywałem się na ogólne żądanie — w akord D. Dur — arją własnej kompozycji do słów Syrokomli: „Stuka, puka, topor w lesie. I mnie wieść żalona niesie. Że mieć będę chatkę nową“...

Skończywszy tę smętną pieśń, spojrziałem na otoczenie, — niektóre panie ocierały łezki z pod rzęs, starszym wiarusom potoczyły się perły łez po stroskanych licach i zawisły na włosach szumiających. Skłoniwszy się, wyszedłem z salonu, pozostawiając znacznych słuchaczy w ich zadumaniu.

Adjutant Kozioracki zatrzymał mnie. Jedna ze słuchających pań oddała mi z piersi swoich obrazek Matki Boskiej, wizerunek haftowany na tle czarnego jedwabiu, druga pani, za przykładem pierwszej, zdjęła z rączek swych włóczkowe, kolorowe ochraniacze rąk i włożyła mi na ręce moje. Podziękowałem po żołniersku i przyrzekłem z amuletami temi iść w bój śmiało.

Wszystko się na porę nocną już uciżyło, tylko „szyldwachy“ spacerując, nocą mroźną krzyżypiały. W stajni opatrzyłem koniki i pod żłobem obok Żelesławka ulokowałem się syt do spania.

Rankiem, opatrzywszy konie, chciałem się przebrać w świeżo wypraną koszulę, gdy wpada impetem do stajni ułan nasz na koniu i bęłkoczy, trzymając w garści pistolet, krzyczy: „kozaki! kozaki!“. Ułan był rodowitym Węgrem, Boruta zwany. Uszedł on do powstania wraz z innymi huzarami z końmi i bronią pod Kockiem w oddziale

Krasińskiego. Było ich coś ze dwudziestu; z brawurą węgierską natarli na liczny oddział ułanów rosyjskich i wielu z nich tam poległo. W naszym oddziale było ich jeszcze dwóch, Boruta i Niklos, obaj przy mnie poginęli od szabel dragońskich, a było ta w drugiej połowie lutego r. 1864.

Otóż ten Boruta stał na wedecie, wprost z wedyety wleciał koniem w bramę naszej stajni, pistolet trzymał w garści, z krzykiem: „kozaki!”

Naraz gruchot strzałów karabinowych zagrzmiął na podwórzu. Świstawki, wirblując z jękiem w ustach komendantów, poczęły złowróźebnie kwilić i ogólne nawoływania z krzykiem: „Na koń i wymykać ze stajni!”. A ja — ja rozebrany do naga.

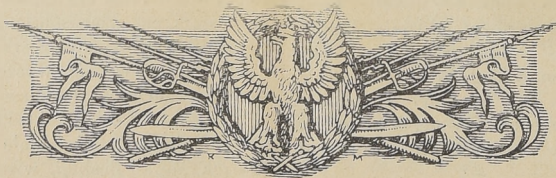
Jeden za drugim wymyka się ze stajni, porywam za kamizelkę, gorączkowo wdziewam na ciało, porywam mój płaszcz wraz z kozuszką wdziewam na siebie, czapkę nasuwam na głowę. Na podwórzu wre walka. Śpieszę, karabinek i pałasz zarzucam już przez ramię, konia nie ochelstanego dosiadam i wyjechałem już szczęśliwie, ale zarazem i komicznie ze stajni.

Jazdy naszej nie widzę, kręci się stary ułan przy stajni na koniu, kiwnął na mnie ręką, bym się trzymał jego i wali wyciągniętym kłusem, ja w oddaleniu jakich kroków trzydziestu. Po lewej stronie dziedzińca dworu rozstawieni Jagmińczycy łuszcą z karabinów w pole. Przelatujemy obydaj obok nich. Stary ułan pomyka w ulicę topolową, w ulicę, którąśmy weszli do dworu, docieramy tak do wspomnianych zabudowań żółtych, sto-

jący przed wawozem. Piechota Cwieków zagra-dza nam drogę, lecz na widok dwóch jeźdźców, przepuszczają nas.

Na drodze mijamy grabiących się przed skonaniem coś dwa konie kozackie i kilku ubitych kozuniów. Przeskakujemy końmi naszemi przez pobojowisko jeden za drugim. Stary ułan wlatuje w wawoz drogi, ja za nim. Stary wydostaje się już na płaszczyznę pola — lecz się raptem zatrzymuje, robi zwrot koniem do mnie i woła: „To nie nasza jazda, to kozacy rozsypani na równinie, wracajmy”... Wracamy napowrót już zwolnionym krokiem, tą samą drogą ku dworowi. Strzelanina przy-cichła, słyszę, że niektórzy nasi Jagmińczuki domagają się, by im pozwolono jeszcze bodaj raz zmierz-zyć do kozuniów i wystrzelić.

My obydaj pytamy się siebie wzajemnie, gdzie podziła się nasza kawalerja i w której stro-nie bitwy mamy się zwrócić, by stanąć w swych plutonach. Piechurzy spotrzegli nas dwóch jeź-dźców z wyciągniętymi szablami w garściach — grupa piechurów wydaje okrzyk, który nas oby-dwóch zelektryzował: „O! patrzcie! patrzcie! wi-wat! wiwat! Mamy tylko dwóch naszych kawale-rzystów, co natarli za umykającymi kozuniami. A gdzie się podziła reszta waszych?” — pytają nas z krzykiem „wiwat! wiwant!” Rozumie się ocknąłem się i wykorzystałem sytuację, bądź słu-szną, bądź zaprawioną zasłużonemi drwinami i wołam, krzycząc im w odpowiedź: „Cofnęliśmy się, bo za skąpo nas dwóch na całą kupę ko-zuniów!”



Ci którzy odeszli.

W lipcu b. r. zginął śmiercią tatelnika śp. dr. Miecz. Świerż, jeden z miłośników i znawców Tatr, historyk sztuki i kultury, człowiek szlachetny i dobry. Mimo wątłego zdrowia brał udział w pracy niepodległ., a w latach wojny był w Legjonach, pracując w biurze prasowym i jako kurjer. Cześć jego pamięci.

We Lwowie zmarł śp. Feliks Szczepański, ur. w r. 1900, który mając lat 16-cie wstąpił do Legjonów. Przeżył całą kampanję 6 p. p. L. P. Był ranny nad Styrem, brał udział w obronie Lwowa

i w ataku w kompanji szturmowej na Sejm zo-staje ponownie ciężko raniony.

Po wyleczeniu służy w 38 p. p. W. P. do roku 1922, następnie zostaje zwolniony, jako niezdolny do dalszej służby.

Ciężka ta służba w obronie ziemi ojczyznej nadszarpnęła tak jego zdrowiem, że resztę lat swego młodzieńczego życia spędził na łóżku szpi-talnym, aż śmierć zamknęła jego oczy na wieki, dnia 8 lipca b. r.

Śp. Adam Zagórski, znany dziennikarz i wy-bitny literat zmarł nagle, w Warszawie w sobotę dnia 24 sierpnia br.

Śp. Zagórski był synem uczestnika powstania z roku 1865 — znanego budowniczego śp. Albina Zagórskiego. Szkołę średnią i uniwersytet kończył we Lwowie i poświęcił się początkowo zawodowi nauczycielskiemu — następnie oddał się wyłącznie dziennikarstwu. Pracował przez szereg lat w „Kurjerze Lwowskim”, był autorem wielu doskonałych „rewji” w czasach, kiedy nie były one jeszcze tak rozpowszechnione jak dziś. W czasie wojny był w Legjonach, pracując w biurze prasowym w Dep. Wojsk., później redagował „Dziennik Narodowy” w Piotrkowie. Wydał w r. 1915 zbiór „Żołn. piosenek obozowych”, układając wiele z nich. W tym czasie napisał większą rzecz polit. „Na przełomie” i wiele innych. W Warszawie w czasie niem. okupacji był redaktorem „Głosu Stolicy”, później współpracownikiem wielu pism. Jako miłośnik i znawca sztuki, a w szczególności teatru, brał zawsze czynny udział w jego życiu i pomimo ciężkiej choroby sercowej do ostatniej chwili nie wypuszczał pióra z ręki. Niedawno Teatr Narodowy wystawił jego obraz dramatyczny — „Odgłosy stulecia”.

Nad otwartą mogiłą przemawiał przez Dziennikarzy p. Gielżyński, p. Jerzy Kossowski w imieniu Zw. Beletrystyków, przez Zw. Aktorów p. Bojanowski w imieniu artystów złożył cześć pamięci zmarłego, światłego ich przewodnika i serdecznego przyjaciela. W końcu mjr. Dunin-Wasowicz zęgnął śp. A. Zagórskiego w imieniu kolegów redakcyjnych „Prasy Polskiej”.

Cześć Jego pamięci.

Śp. Dr. Romuald Wierzbicki zmarł w Zakopanem we wrześniu 1929 r.

Urodzony w Warszawie w 1887 r. studja lekarskie odbywał w Krakowie i Heidelbergu. Z chwilą wybuchu wojny zaciągnął się do Legjonów, pełni obowiązki lekarskie, biorąc udział w bitwach pod Łowczókiem, Przepiórowem, Tarkowem, Urzędowem, Kamionką i na Polskiej Górze pod Kostiuchnowką.

W Kongresówce, służąc w szpitalach i oddziałach, jako dawny czynny członek P. O. W., rozwija energiczną akcję przeciwniemiecką, wreszcie za odmówienie przysięgi Niemcom zostaje zdegradowany i usunięty z wojska, do którego wstąpił powtórnie po odzyskaniu przez kraj niepodległości.

Po wojnie osiadł narazie w Poznaniu, gdzie wydał pracę o Szokalskim jako pamiętnikarzu i teoretyku medycyny oraz „Historję polskiego słownictwa lekarskiego”. Był redaktorem i wydawcą „Oređownika Zdrowia”, współzałożycielem i wydawcą „Archiwum historii filozofji medycyny”, wreszcie założycielem tygodnika „Medycyna” w Warszawie.

Notatki.

Szlakiem Legjonów. Dnia 21 lipca b. r. na starcie w Maniewiczach zespoły marszowe organizacyj P. W. do zawodów na 54-kilometrowym szlaku Legjonów. Metę wyznaczono na Reducie Piłsudskiego, wślawionej bohaterскими zmaganiem pierwszymi żołnierzy polskich w latach Wielkiej Wojny. W zawodach zdobyły pierwsze miejsca drużyny Związku Strzeleckiego, biorąc wszystkie trzy nagrody. Najlepszy wynik osiągnęła drużyna strzelecka z Dębowej Karczmy, pow. Łuckiego. Jednocześnie zakończone zostały nader pomyślnym rezultatem zawody marszowe wojska na stukiłometrowej trasie Kowel—Reduta Piłsudskiego. W marszu wojskowym pierwsze miejsce zdobyła drużyna 24 pp. w Łucku pod dowództwem por. Pabiana. Na wspólnej mecie wojska i strzelców doręczono zwycięzcom nagrody, poczem szef sztabu 27 dyw. piech. mjr. dypl. Sokołowski przemówił o bojach legjonów na Polskiej Górze. Podczas obiadu żołnierskiego, który zakończył zawody, wygłoszono szereg przemówień, nacechowanych głębokim pietyzmem dla pamiątek legjonowych. Przemawiali pp. nacz. Paciorkowski w imieniu p. Wojewody Wolyńskiego, dow. 27 dyw. piech. gen. Wołkowicki i członek zarządu Okr. Zw. Strzel. Sarankiewicz.

Odsłonięcie pomnika ku czci poległych legionistów pod Konarami odbyło się dn. 8 września br.

W uroczystości wziął udział p. Prezydent Rzplitej Polskiej.

Pomnik ten wznosi się na wzgórzu. Widnieje na nim napis: „Bohaterkiej pamięci legionistów, poległych w bitwie pod Konarami, stoczonej w r. 1915 pod wodzą Marszałka Piłsudskiego”.

O godz. 12 biskup Ryks odprawił mszę polową, poczem wygłosił podniosłe przemówienie, po którym dokonał poświęcenia pomnika, poczem zabrał głos ucześnik bitwy pod Konarami, gen. Narbut-Łuczyski.

Po akcie poświęcenia pomnika nastąpiła defilada, którą przyjął P. Prezydent w otoczeniu ministrów, korpusu oficerskiego, miejscowych władz i t. d.

Po defiladzie P. Prezydent pojechał na cmentarz pod Łownicą, gdzie znajduje się wspólna mogiła legionistów. Wśród uroczystego nastroju liczne delegacje złożyły mnóstwo wieńców.

Tutaj przemówił starosta sandomierski Gliszczyński, zwracając się do dzieci szkół powszechnych i prosząc je, aby zarówno teraz, jak gdy podrosną, zaopiekowały się tą drogą pamiątką, jaką są groby poległych legionistów. Jako na

znak swej prośby starosta wręczył dzieciom klucze od cmentarza. W tym momencie rozległy się słowa: „Spój kolego w cichym grobie“. Wszyscy odkryli głowy, składając hołd poległym bohaterom.

Rocznica bitwy pod Mołotkowem. Z inicjatywy p. Franciszka Sokoła, starosty nadworniańskiego i Wiktora Giełczyńskiego, lekarza powiatowego organizuje się komitet z siedzibą w Nadwórnej, celem urzędzenia uroczystego obchodu 15-letniej rocznicy bitwy II. Brygady Legionów Polskich pod Mołotkowem w dniu 30. X. 1914 r.

Protoktorat nad tą uroczystością objął p. dr. Nakoniecznikow-Klukowski, wojewoda stanisławowski.

Niezależnie od urzędzenia samej uroczystości, komitet zamierza zebrać szczegółowe dane o wielkim wysiłku młodych bohaterów, którzy tutaj na polach Rafajłowej, Zielonej, Pasiecznej, Mołotkowa i Nadwórnej mierzyli zapal żołnierza, ochotnika - Legionisty Polskiego z siłą militarną wojsk zaborczych i młode swe życie oddali w ofierze dla wyzwolenia Ojczyźnie naszej Wolności i Niepodległości.

W Pińczowie zawiązał się komitet obywatelski budowy pomnika ku czci poległych oficerów i żołnierzy b. 2 p. p. Legionów Polskich i jego spadkobiercy 2 p. p. Leg. Pomnik, zaprojektowany przez b. podoficera 2 p. p. a obecnie porucznika 2 p. p. Leg. p. Lesiaka posiada 13 metrów wysokości, a wykonany zostanie z kamienia pińczowskiego, ofiarowanego przez tamtejszego obywatela p. Wielopolskiego. Pomiędzy kolumnami z prawej strony znajdować się będą nazwy bitew 2 p. p., z lewej zaś nazwy bitew, stoczonych przez 2 p. p. Leg. podczas wojny polsko-bolszewicko-ukraińskiej. Na froncie pomnika umieszczony zostanie napis: „Poległym za Polskę oficerom i szeregowym b. 2 p. p. Legionów Polskich i 2 p. p. Leg.“, na drugiej zaś stronie napis „Dla Ciebie Polsko i dla Twojej chwały“, a niżej wmurowane będą urny z ziemią.

Służba Ojczyźnie. Wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość 1915—1918. Komitet redakcyjny Al. Piłsudska przewodnicząca, W. Pełczyńska, H. Poloska, I. Barthel de Weydenthal, D. Wyszynska, Redaktorka M. Rychterówna. Warszawa 1929. Główna Księgarnia Wojskowa. Cena 2 zł.

Omawiana praca jest niejako ciągiem dalszym książki p. t. „Wierna służba“. Podczas gdy „Wierna służba“ obejmowała wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość w latach 1910—1915 „Służba Ojczyźnie“ poświęcona jest dalszemu okresowi walk od 1915—1918 r., przedstawiając czasy okupacji i pierwsze miesiące Polski niepodległej.

Praca dzieli się na 3 części. Część pierwsza przedstawia pracę w Legionach, w P. O. W., w Lidze Kobiet w harcerstwie oraz w stronnictwach niepodległościowych. Część druga poświęcona jest obronie Lwowa, wyzwoleniu Poznańskiego, Wileńszczyzny oraz pracom na Wschodzie. W trzeciej zawarte są wspomnienia o zmarłych uczestniczkach walk o niepodległość.

Karty tej pięknie wydanej książki są nie tylko obliczem ówczesnych wydarzeń dziejowych w Polsce pod okupacją w chwili odzyskiwania niepodległości ale przede wszystkim dowodem bohaterstwa i poświęcenia kobiety polskiej.

Z tych względów książka ta powinna znaleźć się w rękach jak najszerszych sfer naszego społeczeństwa a szczególnie młodzieży dorastającej.

Nadmienić wypada, iż pierwszą część tej pracy p. t. „Wierna służba“ zaleciło Min. Oświaty do wyższych klas szkół średnich.

Pracę zdobi 42 ilustracyj.

Przez rewolucję 1905 r. do Legionów 1914 r. A. Botnickiego, Lwów, nakładem „Panteonu Polskiego“.

W książce tej znajdzie czytelnik historję ruchu wojsk. niepodległ., który od rewolucji 1905 r. dorywczego porywu, przeszedł do systematycznej pracy organizacji i wyszkolenia wojskowego. czego rezultatem były Legiony, P. O. W. i kadry Armji Polskiej.

Okres rewolucji 1905 r. jest nie tylko mało znany szerszym warstwom ale z powodu małego zasobu pamiętnikarstwa a zupełnego braku opracowań ścisłych, chociażby wstępnych — trudny jest do histor. i większego opracowania. Dlatego też zasłużył sobie autor na uznanie, tem więcej, że nie siedząc przy zawodowym ołtarzu i zdala od źródeł, korzystając ze źródeł mniejszych, portafili rzecz ująć należycie i tyle materiału histor. włożyć w tego, najmniejszego aktu po latach 30-tych i 60-tych.

Ktokolwiek interesuje się temi tak niedawnymi jeszcze czasami walk o Wolność — ten musi przeczytać i tę książeczkę, napisaną źródłowo pięknie i uczuciowo. Znajdzie tu poza wszystkim jeszcze i tę nić, która w latach niewoli wiązała Polskę przedrozbiorową z Polską, wyzwoloną przez nas w latach 1914—1920.

Treść tej książki: Wstęp. Nasza Tradycja. Orientacja. Polski Socjalizm i zmaganie się w nim prądów. Piłsudski w walce z caratem. Organizacja i działalność oddziałów bojowych. Oddziały linjowe. Małopolska Piemontem ruchu wojskowego. 6 Sierpnia 1914. Przypisy. Bibliografja.

FRAGMENTY WSPOMNIENI (1914—1918)

nap. Roman Woynicz-Horoszkiwicz, Brześć B 1929. str. 31. 8°, nakł. Zw. Strzel. Okr. Podl. Pol.

Roman Woynicz, znany poeta i pisarz legjonowy, oficer I B-dy, niestety w ostatnich latach tak mało dający o sobie znaku życia — wydał mały zbiorek swych fragmentów, częściowo już drukowanych w różnych pismach.

Wspomnienia te czyta się jednym tchem a przed oczyma wije się — jakby z obrazków wycięta — wstęga przepięknie malowanych przeżyć, imion i czynów tych, którzy 15 lat temu rozpoznawali tę szczęśliwą i cudną drogę do wolności i niepodległości.

„Trzeba pobierać troskliwie. trzeba odgrzebać w pamięci nazwiska kirem osłonięte — i czynny poległych i przebieg życia. Należy się to od nas. tamtych” — mówi Woynicz i czyni to w swych „Fotografjach”. w „Pierwszej Kadrowej”, w „Karcie wojskowej”, w „Listach z daleka” i wreszcie w „Trzynastu”, poświęconemu wspomnieniu poległym Legonom w 1917 i 1918 r. nad Piawą. Skorowidz nazwisk, około 120. z pseudonimami — zamyka tę bardzo miłą i cudną kartę — wielkich czynów legionistów Piłsudskiego.

* * *

W „Fragmentach Wspomnień” wspomniał autor o „Panteonie” i sprostował zauważone niekóre błędy, względnie omyłki, następ. treści:

„Henryk Tabiński zginął pod Krzywopłotami a nie pod Łowczówkiem.

Stefan Orłowski, wachm. uł. ranny był w nogę pod Wojciechowcami (nie zginął), leczyl się później w Krakowie.

Kapitan Herwin nie padł od kuli w piersi. Otrzymał on ciężki postrzał w głowę, zmarł po kilkunastu godzinach, nie odzyskawszy przytomności, opatrywał go dr. Jakowicki.

Do „ułańskich grobów” należy też grób ułana Adama Świtezia-Patera, który padł w pierwszych chwilach bitwy pod Optową w r. 1916. obok reauty 1 p. p. „Pakoszówki”. Pochowany został na wzgórk u obok dowódtwa 1 pp. „Anieliu”.

Łabaziewicz i Bąk padli pod Cortelazzo. dnia 19 grudnia 1917 r. Kazimierz Anczakowski w pierwszych dniach stycznia 1918 r. zginął od granatu w cegielni obok Casa Pali, a ppor. Macko padł jeszcze przedtem też w grudniu 1917 r.”.

Sprostowanie. W gawędzie „Jak to na wojence ładnie” umieszczonej w zeszytcie 58-59 należy sprostować nast. drukarskie omyłki:

„W 1-ej szpalcie wiersz 30: przed wyrazem „ojczyzna” opuszczono: „do życia.

W 2-ej szp. w. 5 zamiast „się” ma być „cię”.

W 6-tym wierszu zamiast „rycerzu” ma być „rycerzyku”.

Wiersz 19 zam. „oddechaleś” ma być „oddychaleś”.

Na 4-ej szpalcie w. 14 zam. „niebo chmurne przed nami a Moskal za nami” ma być: niebo... nad nami a... przed nami”.

Wiersz 15 zam. „oprócz” ma być „oprócz”.

Instytut Badań Spraw Narodowościowych wydał ostatnio „Mapy rozsiiedlenia ludności polskiej i litewskiej na terenie Republiki Litewskiej i obszarach północno-wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej”.

Mapa rozsiiedlenia ludności polskiej daje plastyczny obraz rozmieszczenia mas polskich na terenach wspólnego zamieszkania z ludnością litewską, uwypuklając na Litwie obszary z większością polską w dolinach Wilji i Niewiaży na północ od Kowna i na pograniczu polsko-litewskim.

Mapa rozsiiedlenia ludności litewskiej daje obraz rozmieszczenia na tych samych obszarach mas litewskich z uwzględnieniem klinów litewskich wrzynających się w terytorjum polskie.

Do map dołączony jest tekst z tablicami statystycznymi, omawiający historyczny rozwój skupień polskich i litewskich na tych obszarach obrazujący te skupienia pod względem statystycznym na poszczególnych terenach i omawiający podstawy teoretyczne obliczeń wziętych pod uwagę.

Wobec przeciągającego się sporu polsko-litewskiego mapy te nabierają szczególnej aktualności.

Wojsko na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu 1929. (Główna księgarnia wojskowa, 2/80 zł.). Przed kilku dniami ukazało się na półkach księgarskich niezwykle efektowne wydawnictwo. Jest to album pamiątkowy działu wojskowego p. t. „Wojsko na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu 1929”, wydany przez Główną Księgarnię Wojskową. Format, okładka, przepiękne fotografie albumu, tekst barwny i zajmujący, papier, druk — wszystko w najlepszym gatunku, — składa się na całość, która śmiało współzawodniczyć może z najpiękniejszymi tego rodzaju wydawnictwami zagranicy.

Album zawiera w interesującą formę ujęty opis wszystkich sal działu wojskowego na P. W. K., wyszczególniający wystawione eksponaty, ilustrowany bogato fotografiami. Sala honorowa wojska, dział pamitek historycznych, zajmujący 7 sal, sala wydawnictw, przemysłu wojennego, sala budownictwa wojskowego, sala funduszu kwaterunku wojskowego, sala aeronautyki, sala Wojskowego Instytutu Geograficznego, sala wojskowej służby zdrowia, spółdzielczości w wojsku, — kolejno przesuwały się przed oczyma czytelnika z całą plastycznością, uwypuklając zawartą w nich

historję walk o niepodległość i dziesięcioletniej twórczej pracy pokojowej wojska.

Ze względu na swą wartość historyczną i luksusową szatę zewnętrzną, album będzie cennym nabytkiem w każdym domu, w każdej bibliotece oddziałowej i prywatnej.

„DZIEJE I PUŁKU PIECHOTY LEGIONÓW“

Adam Józef Borkiewicz. Warszawa 1929. Cena 25 zł. Nakładem Wojskowego oBiura Historycznego. Skład: Główna Księgarnia Wojskowa.

Ukazała się niedawno na półkach księgarskich praca mjr. Adama Józefa Borkiewicza p. t.: „Dzieje I pułku piechoty Legionów“. Autor jej opisuje wydarzenia bojowe, w których pułk brał udział, oraz całe życie pułku od jego powstania w 1918 r. aż do ukończenia działań w 1920 r., na tle wypadków ogólnych, oraz na tle sytuacji większych jednostek.

Dzieło to opracowane jest nadzwyczaj gruntownie, autor bowiem — uczestnik walk i przeżył pułku — oparł się na bogatych źródłach zarówno naszych, jak i sowieckich. Praca, obejmująca 1112 stron druku, odznacza się piękną szatą zewnętrzną oraz zwiiera mnóstwo fotografii, ilustracyj i szkiców. Posiada zarówno znaczenie historyczne, jak i wartość pamiętnikarską i wychowawczą.

*

Zeszyt niniejszy, *spóźniony z powodu choroby redaktora, wychodzi w większej objętości i jest zeszytem za wrzesień i październik.

Następny zeszyt wyjdzie z końcem października, również w objętości 20 str.

KTO jeszcze nie wyrównał należności za poprzednie kwartaly, niechaj uczyni to odwrotnie, gdyż pismo nasze oparte jest wyłącznie na prenumeracie, a każdy grosz jest potrzebny.



NOWOŚĆ.

Niedawno wyszła z druku praca mjr. ADAMA JÓZEFA BORKIEWICZA p. t.:

„DZIEJE I-GO PUŁKU PIECHOTY LEGIONÓW“

Cena 25 zł.

Autor opisuje obszernie działania bojowe, w którym pułk brał udział podczas wojny polsko-bolszewickiej oraz całe życie wewnętrzne pułku. — Praca potraktowana jest bardzo szeroko i gruntownie obejmująca 1112 stron druku. Autor oparł się na bogatych źródłach — zarówno naszych jak i sowieckich. Praca posiada do siebie wartość historyczną i wychowawczą. — Wydana jest luksusowo i ozdobiona licznymi ilustracjami.

Do nabycia w Głównej Księgarni Wojskowej Warszawa, ul. Nowy Świat 69

Józef Piłsudski o Sobie

zebrał i wydał Z. Zygmuntowicz.

Treścią tej książki jest życie i przeżycia Marszałka od kolebki do ostatnich czasów, według

własnych słów i opisów

Przeszło 120 stron druku dużego formatu, kilkadziesiąt ilustracji.

Cena tej książki wynosi 10 zł. (opr. 15 zł.).

Dla P. T. Wojskowych i Urzędników Państwowych, Policji Państwowej, Nauczycieli i Bibliotek publicznych i wszystkich Legionistów cena zniżona tylko 8 zł. opłatnie.